

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 17-go lutego 1945r.

Rok VII. Nr. 7

STO LAT TEMU I DZIŚ

Nie po raz pierwszy w dziejach przyszło żołnierzowi polskiemu przeżywać na obczyźnie tęsknotę za ojczyzną, opuszczoną w dniach tragicznych.

Krwawa i ciężka była droga Legionów Dąbrowskiego. Los żołnierzy polskich po r. 1831 był o wiele cięższy. Gdy po upadku Warszawy we wrześniu 1831 r. dalsza walka okazała się niemożliwa, nastąpił przemarsz żołnierzy powstania na zachód, do Francji — do kraju, z którym przodków naszych wiązało braterstwo broni szczególnie bliskie. Ciągnęli również na zachód ludzie cywilni, najbardziej wobec rządu rosyjskiego "skompromitowani": rząd, sejm, publicyści powstania, znani z patriotycznych wystąpień literaci. Pozostawanie w kraju i narażanie się na bezwzględna zemstę wroga — nie miałyby celu.

Nie lęk jednak przed tą zemstą był zasadniczą przyczyną emigracji. Szlak marszu na zachód wykreślała przede wszystkim twarzą wola podjęcia nowej walki, która w gościnnej i wolnej Francji miała być przygotowana w zakresie wojskowym i politycznym. Zaczął się epos Wielkiej Emigracji.

Dla szerokiego ogółu uchodźców napisał Mickiewicz w r. 1832 "Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego". Ten ogół uchodźczy jest zarazem zbiorowym bohaterem "Ksiąg", a jego losy, cele i pragnienia — treścią utworu.

Niezmiernie wielkie znaczenie ma dla naszego narodu i mieć będzie zawsze ta ksiązka, zwłaszcza jej część druga, t.j. "Księgi Pielgrzymstwa". Pisane, jak część poprzednia, z myślą o ogóle emigracyjnym, miały jednak również i bliżej określone przeznaczenie:

"Te to są Księgi Pielgrzymstwa..."

"Czytajcie je Bracia — Wiara — Żołnierze; a ci, co są między Wami starsi, których nazywacie podoficerami, czyli namiestnikami, niech Wam objaśniają i wykładają".

Warto wspomnieć o "Księgach Pielgrzymstwa" na łamach pisma, zaspakajającego w czasach obecnej wojny potrzeby szerokich mas żołnierskich, w ksiązkę bowiem Mickiewicza odnajdziemy klucz do zrozumienia najgłębszego sensu współczesnego polskiego czynu zbrojnego: czynu Kutna i Warszawy 1939 r., czynu Monte Cassino, Falaise i czynu Warszawy 1944 r.

Czytamy w przypowieści XXI "Ksiąg Pielgrzymstwa":

"A Polak powiada narodom: Tam Ojczyzna, gdzie źle; bo gdzie tylko w Europie jest ucisk Wolności, i walka o nią, tam jest walka o Ojczyznę, i za tę walkę bić się wszyscy powinni".

Dumne to słowa! Przez usta Mickiewicza Polak tamtych czasów rzuca światu zew bojowy; uczy świat jedynej mającej uzasadnienie polityki — polityki, wyrabianej bronią wojsk walczących o Europę wolną i sprawiedliwą.

Tytuł do tak zaszczytnej roli narodu w świecie mógł być uzasadniony jedynie jakimś niezwykłym dla ludzkości zasługami. Zasługi te były znane już w czasach, które poprzedziły ukazanie się "Ksiąg Pielgrzymstwa".

Walczący Kościuszko i Pułaski o niepodległość Stanów Zjednoczonych, Legiony Dąbrowskiego — o wprowadzenie w życie hasła demokracji francuskiej i o wyzwolenie ziem włoskich. W roku 1830 powstanie nasze, wiążąc siły cara Mikołaja I, ocaliło niepodległość Belgii, ponadto, być może, oddaliło groźbę klęski od Francji. Znaczenie tego faktu podkreślili uczeni belgijscy i francuscy.

Fakty te stanowią historyczne uzasadnienie mickiewiczowskiego poglądu, wedle którego wojna o wolność świata, jest przede wszystkim wojną polską. Nie tylko jednak przez pryzmat czasów i wydarzeń minionych patrzył Mickiewicz na swój naród. Pisał "Księgi" w proroczym widzeniu losów Polski i przeznaczając przyszłych. Przenikliwie patrząc w duszę narodu, odkrył w niej tę siłę utajoną, która miała przez długie dziesiątki lat rzucać pokolenia polskie na barykady i pola walk o ideały ogólnoludzkie.

Gdy w roku 1848 przeszedł przez Europę ożywiony podmuch "Wiosny Ludów", gdy narody Europy zerwały się do walki z tyranią — Polacy byli tych zmagani awangardą. Walczyli na ziemiach własnych pod Miłosławiem, Książem i Wrześnią, na ulicach Lwowa i Krakowa, walczyli we Włoszech środkowych w szeregach Garibal-

diego, Mierosławski dowodził ruchem zbrojnym na Sycylii i w Badenii; walczyli Polacy w r. 1849 na Węgrzech, gdzie Dembiński był przez pewien okres wodzem naczelnym.

W latach 1854 — 1856, w czasie wojny krymskiej, walczyli przeciw carowi wespół z wojskami tureckimi, francuskimi, brytyjskimi i włoskimi.

W r. 1860 walczyli raz jeszcze w szeregach Garibaldiiego o wyzwolenie ziem włoskich.

Walczyli w latach 1863/1864 na ziemi własnej.

W r. 1870 za Francję, zmagającą się z przemocą pruską, oddał życie sławny wódz styczniowego powstania, gen. Józef Bosak-Hauke.

W czasach, gdy większość narodów europejskich zamknęła się w kole ciasno pojętego interesu, nie bacząc na losy innych, patrioci polscy krwawili się w walkach

o sprawiedliwość powszechną, w myśl wskazania "Ksiąg Pielgrzymstwa":

"A Wasz zakon inny jest, bo Wy mówicie: Wszystko, co nasze jest, Ojczyznę jest; wszystko, co naszej Ojczyzny jest, wolnych ludów jest". /XVIII/.

Istnieje ścisła współzależność między losem każdego narodu a wolnością i sprawiedliwością ogólnoludzką. Przodkowie nasi w wieku XIX-ym prawdę tę rozumieli. Nigdy jednak w dziejach naszych poczucie odpowiedzialności narodu za losy Europy i całego świata nie wyraziło się tak potężnie, jak w wojnie obecnej.

W latach 1938 — 1939 ugięły się narody przed brutalną siłą. Niejeden z nich uległ żądaniom hitlerowskich Niemiec, nie chcąc przed innymi stać się ofiarą straszliwej klęski. Nam również wróg proponował kompromis — godzący w naszą godność narodową wpraw-

dzie, ale chroniący nas przed uszczupleniem sił żywotnych i zniszczeniem ziem. Decyzja nasza była jednomyślna: pierwszy chwyciliśmy za broń. Zespoliliśmy swój los z losem słabych wówczas, wojskowo nieprzygotowanych demokracji Zachodu. W decyzji naszej było coś więcej, niż przypadek dziejowy. Tkwi w niej treść najgłębsza naszych przeznaczeń, naszego narodowego charakteru. Innej decyzji nie mógł powziąć naród, który wydał Bema, Dembińskiego, Mierosławskiego, Bosaka-Haukego?

Czy jednak decyzja nasza była również poddyktowana przez rozsądek polityczny, czy była słuszną również z samolubnego punktu widzenia? I na to pytanie znajdziemy odpowiedź w jednej z przypowieści "Ksiąg Pielgrzymstwa":

"Za dawnych czasów, kiedy zbudowano pierwsze miasto na ziemi, zdarzyło się, iż wszczął się w mieście o-nem pożar.

Powstali niektórzy ludzie, i spojrzeli w okno, a widząc ogień bardzo daleko, poszli znowu spać i usnęli. A drudzy, widząc ogień bliżej, stali w drzwiach i mówili: Będziemy gasić, kiedy ogień do nas przyjdzie. Ale ogień wzmógł się bardzo, i pożarł domy tych, którzy w drzwiach stali, a tych, którzy spalili, pożarł z domami ich".

Duch zaborczości i ucisku jest jak zaraza. Szkodliwość jego skutków nie da się umiejscowić. Grozi wszystkim krajom świata. Stanać do walki z przemocą kazała Polsce zarówno idea przewodnia jej dziejów, jak dobrze zrozumiana racja polityczna — racja polityczna, uwzględniająca nie cele doraźne, lecz ostateczny wynik zmagani.

W postawie, przyjętej we wrześniu 1939 roku, trwa Polska po dziś dzień — żadna siła i żaden zwód nie zdoła osłabić w żołnierzu polskim woli walki z totalistyczną tyranią:

"Wy powiadacie narodom: Nie składajcie broni, póki despotyzm trzyma jedną piędź ziemi wolnej".

Wszedł żołnierz polski naprzeciw złu i pozyskał sobie zasłużoną sławę i miłość wśród narodów Europy.

"A Was spotykają i ugoszczają, i śpiewają Wam pieśni Wasze, bo czują, że Wy wojujecie za wolność świata".

Żywo stają nam przed oczyma wydarzenia niedawne z Włoch, Francji, Belgii, Holandii. Przeżywa żołnierz polski radość, którą dają osiągnięcia bojowe i braterstwo, łączące go z narodami wyzwalanymi.

Radość ta nie zdoła zdejść z jego barków ciężaru trosk serdecznych i niepokojów — o ziemię ojczystą, o dom rodzinny, o najbliższych. Los zawzięty raz jeszcze nas doświadcza.

Nic jednak nie zdoła w nas osłabić wiary w ostateczne zwycięstwo naszej sprawy, gdyż droga, na którą żołnierz polski wszedł w roku 1939, którą kroczy po dziś dzień, jest drogą sprawiedliwą, i jedyłą, prowadzącą do wytkniętego celu.

W celu tym mieści się zarówno wolność świata, opartej na cywilizacji prawdziwie chrześcijańskiej, jak całkowita niepodległość Polski.

O ile, jak doświadczenie dziejowe mówi, trudno wyobrazić sobie istnienie Polski niepodległej na tle niesprawiedliwych stosunków i ucisku w Europie, o tyle również nie można wyobrazić sobie świata naprawdę wolnego bez całkowitej niepodległości Polski.

NA FALI WYDARZEŃ

Dnia 31 stycznia b.r. dowódca Armii Krajowej z upoważnienia Prezydenta Rzeczypospolitej, prawnego, konstytucyjnego Zwierzchnika Polskich Sił Zbrojnych rozwiązał szeregi walczące z podziemi przez lat pięć aż do ostatnich tygodni. Dnia 9 lutego Pan Prezydent pożegnał przez radio żołnierzy Armii Krajowej, a legalny Rząd Rzeczypospolitej uczcił ich dokonania osobną, uroczystą uchwałą.

Rozwiązanie części Polskich Sił Zbrojnych, która działała w Kraju zamyka wielki, bohaterski, chlubny rozdział historii naszego udziału w toczącej się wojnie. Rozwiązanie Armii Krajowej nastąpiło z dwu przyczyn.

Jedną z nich stanowi fakt uwolnienia Kraju spod okupacji niemieckiej, a przeciw tej okupacji zwracała się od początku, ciągłe, niezachwianie walka zbrojna żołnierzy podziemnych. Drugą przyczynę stanowi okoliczność nad wszelkie słowa bolesna i obrażająca ludzkie uczucie sprawiedliwości. Członkowie Armii Krajowej, którzy na polu bitwy nawiązywali łączność bojową z postępującymi naprzód oddziałami Armii Czerwonej, oddawali im nieocenione usługi od walk o Wilno aż do ostatnich walk o Kraków, Częstochowę i Piotrków — nie byli traktowani przez organy polityczne Sowietów jako współkomatanci, byli rozbrajani siłą, więzieni i deportowani. Dalsze utrzymanie szeregów Armii Krajowej w Polsce, jak je utrzymywano we wszystkich wyzwolonych krajach Europy, stało się w tych warunkach niemożliwe, mogło być doprowadzić do nowych tragicznych zawiązań.

Dzieje najstarszej, najliczniejszej, najwierniejszej Armii Podziemnej są zamknięte. Można dziś zrobić ogólny rachunek jej dokonani. Można ocenić czym była dla nas, czym była dla Sprzymierzonych, czym była dla sprawy wolności.

W ciemnych dniach po klęsce wrześniowej, gdy ulegliśmy w samotnej walce na dwa fronty — Armia Krajowa, jej pierwsze załączki, podały hasło dalszej walki. Jednocześnie z tymi, którzy znaleźli się za granicą, którym się udało tam przedrzeć przez odrutowane, lub objęte wojną granice — żołnierze podziemi uswiadomili sobie, narodowi i światu, że walka w Polsce o Polskę nie jest skończona, że udział Polski w wojnie na ziemi polskiej trwa, będzie trwał,

będzie narastał aż do chwili zrządzenia jarzma okupacji. To zadanie Armia Krajowa spełniła bez reszty. Wydzwignęła sprawę polską z powrotem na powierzchnię, zaświadczyła, że nie jesteśmy pobici, że chcemy i możemy walczyć, że będziemy walczyć do końca.

Po czarnej jesieni polskiej 1939 roku przyszyły czarne godziny na naszych sojuszników. W tych godzinach Armia Podziemna pokazała, że jest sprzymierzeńcem wiernym, cennym, ofiarnym bez ograniczeń. Stało się to oczywiste o bozie sprzymierzonych gdy w całej niemal Europie zaczęły powstawać rządy powolne hitlerowskiemu zdobywcy, gdy niemal z wszystkich krajów Europy zaczęły iść oddziały ochotnicze, aby wspierać wielką "krucjatę" Niemiec na Wschodzie. W Polsce nie próbowano powoływać takich oddziałów. W Polsce rozgorzała wtedy wojna partyzancka na olbrzymią skalę, paraliżująca, niszcząca wysiłki niemiecki skierowany przeciw Sowietom. Armia Krajowa prowadziła tę wojnę przez lata. Do 1944 roku jej żołnierze zniszczyli lub uszkodzili bez mała 7.000 lokomotyw, z górą 17.000 wagonów kolejowych. Tylko te dwie cyfry świadczą jak, jak olbrzymi był udział Armii Krajowej w klęsce Niemiec na Wschodzie, która jest jednym z głównych składników zbliżającej się nieuchronnie klęski Niemiec na ich własnej ziemi, klęski hitlerizmu i zaborczego ducha niemieckiego.

Ale na tym nie kończy się żołnierski zapis Polskiej Armii Kra-

Postanowienia, zapadłe na konferencji przewodców trzech mocarstw sprzymierzonych w Liwadii, kładą się ciężkim brzemieniem na losach Polski. Znajdują też odzwierciedlenie w duszach żołnierskich.

Postanowienia te zapadły bez udziału Władz Naczelnych Rzeczypospolitej, reprezentujących prawną ciągłość istnienia naszego Państwa.

W oczekiwaniu decyzji Najwyższego Zwierzchnika Sił Zbrojnych i Rządu Rzeczypospolitej, żołnierze Jej opamiętali nurtujące ich uczucia, zachowując spokój i pełną powagę postawę, godną naszego Narodu i odpowiadającą powadze chwili.

Krzywdą doznana wskutek politycznych decyzji mocarstw nie przecina węzłów braterstwa, łączących Polskę Walczącą z wolnymi narodami, walczącymi w swym najgłębszym przekonaniu o lepsze jutro ludzkości. Przyjaźń ich i szacunek dla naszych Sił Zbrojnych — to jedne dziś dobro Polski.

Wytrzymała ona próbę moralnie jeszcze cięższą, niż walka z podziemi, niż walka w kraju okupowanym i nieludzką prześladowanym, niż walka z wrogiem stojącym u szczytu potęgi i przekraczającym wyobraźalne granice okrucieństwa. Żołnierze Armii Krajowej zdobyli się na samozaparcie właściwie bezprzykładne. Stanać do wspólnej walki z Armią Czerwoną mimo wszystkich gróźb, mimo faktów gwałtu, których byli świadkami, których mieli być ofiarami. Od Wołynia i Wileńszczyzny, przez Białostockie, Małopolskę i Lubelskie aż do zachodnich ziem polskich współdziałali z żołnierzem sowieckim, tak, jak z żołnierzem amerykańskim i kanadyjskim na innych frontach współdziałały i współdziałają jawne Siły Zbrojne Rzeczypospolitej.

Była to bezcenna usługa, oddana nie tylko wojnie, nie tylko "sprzymierzeńcowi naszych sprzymierzeńców", ale samej sprawie, samej idei wolności, o którą toczy się ta wojna. Nie jest to winą żołnierzy Armii Krajowej, nie jest to winą Polski, że zmarnowano możliwość ugruntowania zgody, dobroświądkiemu, braterskiego współżycia dwu narodów, na tym braterstwie broni, przypieczętowanym krwią wylaną w walce ze wspólnym wrogiem.

Ale dla Polski, dla sprawy polskiej, dla jej przyszłości — pięćioletnia z górą żołnierska służba Armii Krajowej, żołnierska według najwyższej i już chyba nieprzekraczalnej skali wymagań — nie jest zmarnowana. Kosztowała ona Naród drogo, ale złączyła go w jednej świadomości, w jednej woli, w jednym dążeniu. Po tym, czego dokonała Armia Krajowa, po powstaniu warszawskim, na które patrzyła cała Polska i cały świat — ta świadomość nie da się już zaciemnić, ta wola nie da się nagiąć, to dążenie nie da się zahamować. Wyrażają się one w jednym słowie: Niepodległość.

Polskie Siły Zbrojne na obczyźnie łączą się w tej ciężkiej godzinie z żołnierzami Armii Krajowej, salutują jej rozwijające się szeregi z najgłębszą czcią, z braterską miłością i z wiarą, że dobrze, najlepiej zastąpiły się one Polsce, Sprzymierzonym, świętej sprawie wolności wszystkich narodów i wszystkich ludzi.

ALEKSANDER JANOWSKI

JÓZEF ŻMIGRODZKI

OZYWIENIE NA ZACHODZIE

Niemal nazajutrz po ukazaniu się pierwszego komunikatu o konferencji "wielkiej trójki" mówiącego o "całkowitym porozumieniu co do wspólnych operacji wojskowych w końcowej fazie wojny z Niemcami"...

BITWA O BERLIN

Na wschodzie Rosjanie poczynili dalsze postępy. Tempo ich w czwartym tygodniu było bodaj jeszcze wolniejsze, aniżeli w trzecim...

Jednocześnie pokazane postępy poczynili Rosjanie w kierunku Szczecina. Dość szybko nastąpić może odcięcie armii dowodzonej przez Himmlera na Pomorzu niemieckim i polskim...

Czy jednak taki wielki manewr kleszczowy wokół stolicy Rzeszy będzie konieczny? Czy nie wystarczy uderzenie frontalne marsz. Zukowa?...

Oczywiście sama bitwa o Berlin może potrwać długo. W ostatnich czasach raz jeszcze wykazana została wielka przydatność miast do długotrwałej obrony...

Niewątpliwie opór niemiecki na odcinku Berlina bardzo się wzmożł w ostatnich dniach; widoczne jest, że dowództwo niemieckie rzuca tu do akcji wszystkie swe rezerwy...

ja operacje Koniewa, mogące zmusić Niemców do ponownego rozproszenia sił.

DEZORGANIZACJA W RZESZY

Rzeczą najbardziej bodaj znamieną jest jednak fakt, że w dalszym ciągu Niemcy nie zdobyli się na żadne przeciwuderzenie w większym stylu, choć tylko ono mogłoby dać im poważniejszy zysk na czasie...

Poważnym czynnikiem zdaje się obecnie być rosnąca dezorganizacja i chaos w Rzeszy. Berlin nie jest już w stanie spełnić swej roli ośrodka administracji i dyspozycji...

"NAD PRZEPACIĄ"

Jeżeli trzeba było dowodów na to, jak bardzo krytyczna jest sytuacja Niemiec, to dostarczyło ich ostatnie przemówienie gen. Dittmara...

towe jest przejażdżenie. Widzi ono, że ratunku dla Niemiec nie ma. Jak to określił gen. Dittmar — Niemcy kroczą po linii ponad przepaścią.

Nie jest jednak rzeczą jasną, czy oferta ta została złożona w porozumieniu z partią, czy też wbrew niej. Jak dotąd, nie ma żadnych wskazówek...

Zresztą oferta gen. Dittmara nie ma żadnych szans przyjęcia. Sojusznicy w dalszym ciągu domagają się bezwarunkowej kapitulacji...

TRIUMFY NA DALEKIM WSCHODZIE

Dramatyczne wydarzenia w Europie z natury rzeczy spychają na dalszy plan działania wojenne na Dalekim Wschodzie...

Ostatnie czasy przyniosły przede wszystkim ponowne otwarcie drogi przez Burmę, co poważnie ułatwi zapopatrywanie Chin...

Wielkim tym operacjom lądowo-morskim towarzyszą wzmagające się stale naloty "fortec latających" na Tokio i inne miasta japońskie...

KONFERENCJA TRZECH

Śledząc uważnie rozwój wydarzeń na frontach, opinia światowa z wię-

szym jeszcze napięciem oczekuje na wieści o wynikach spotkania "wielkiej trójki", obradującej gdzieś nad Morzem Czarnym...

Do wielu zagadnień, które domagają się rozwiązania, dołączyły się ostatnio nowe. Wielu krajom oswo-bodzonego grozi głód...

Jednym jest dążność ograniczenia zainteresowań do krajów strefy rytyjsko-amerykańskiej, w których sytuacja jest lepiej znana...

Pod tym względem, jak i każdym innym Polska jest przykładem i problemem. Polska jest głodna...

Zagadnienie całej Europy, zwłaszcza środkowo-wschodniej to nie: chleb, albo wolność. To: chleb i wolność...

London, 11 lutego 1945.

ALEKSANDER BORAY

P.S. 12 lutego. W chwili, gdy oddajemy numer do druku, został ogłoszony komunikat o decyzjach konferencji Trzech...

25 LAT

Dwadzieścia pięć lat temu — 10 lutego 1920 roku Polska odzyskała dostęp do morza. Marynarka wojenna, stworzona dekretem Józefa Piłsudskiego...

Od tego czasu wiele się zmieniło. Ale gdyby w ów deszczowy, chłodny ronek 1920 roku ktoś powiedział, że Polska Marynarka Wojenna walczyć będzie zwycięsko...

A jednak wspólnym wysiłkiem narodu powstały: port w Gdyni — niebawem największy i najruchliwszy na Bałtyku...

A oto kilka cyfr u końca 25-letnia. Zatopiono lub zniszczono nieprzyjacielowi w działaniach wojennych na Bałtyku...

31 okrętów wojennych, 41 statków handlowych, 8 barek desantowych i około 100 samolotów.

Uszkodzone: 8 okrętów wojennych /w tym jeden pancernik/ i kilkanaście samolotów.

Ratowano: 19 okrętów wojennych, 30 statków handlowych i kilkadziesiąt samolotów sprzymierzonych.

Zdobyto orderów i odznaczeń: 43 Virtuti Militari, 1072 Krzyży Walecznych, 37 Krzyży Zasługi...

Stracono w działaniach wojennych: 1 koralet, 4 kontrtorpedowce, 2 okręty podwodne...

Wojna na morzu

Komentarze zbyteczne.

WOJNA NA BAŁTYKU

Według prasy szwedzkiej okręty niemieckie uciekają z Zatoki Gdańskiej, która wobec częstych bombardowań lotniczych Kilonii /Kiel/ była od dawna ich główną bazą...

Gdynia została przez Niemców rozbudowana do rozmiarów pierwszorzędnej bazy morskiej dla okrętów podwodnych i nawodnych...

Gdyby flota sowiecka była silniejsza w okręty nawodne, to los wojsk Hitlera w Prusach i na Łotwie byłby dawno przesądzony...

Jeżeli trzeba było dowodów na to, jak bardzo krytyczna jest sytuacja Niemiec, to dostarczyło ich ostatnie przemówienie gen. Dittmara...

Pancernik "Admiral Scheer" i 3 ścigacze brały udział — jak donosi prasa niemiecka — w obronie Elbląga...

W dniu święta Polskiej Marynarki Wojennej Prezydent R.P. wydał rozkaz dzienny do marynarzy, w którym czytamy: "Dziś, gdy umęczony Kraj patrzy z niepokojem w przyszłość..."

11 lutego: Wojska sowieckie przекroczyły Odrę na ptn. zach. od Wrocławia. Wojska sowieckie zajęły Lignicę.

Wojna na morzu

szorządnej bazy morskiej dla okrętów podwodnych i nawodnych. Tych pierwszych w budowie, próbach, szkoleniu i naprawie było tam podobno ze 150...

Gdyby flota sowiecka była silniejsza w okręty nawodne, to los wojsk Hitlera w Prusach i na Łotwie byłby dawno przesądzony...

Jeżeli trzeba było dowodów na to, jak bardzo krytyczna jest sytuacja Niemiec, to dostarczyło ich ostatnie przemówienie gen. Dittmara...

Pancernik "Admiral Scheer" i 3 ścigacze brały udział — jak donosi prasa niemiecka — w obronie Elbląga...

W dniu święta Polskiej Marynarki Wojennej Prezydent R.P. wydał rozkaz dzienny do marynarzy, w którym czytamy: "Dziś, gdy umęczony Kraj patrzy z niepokojem w przyszłość..."

11 lutego: Wojska sowieckie przекroczyły Odrę na ptn. zach. od Wrocławia. Wojska sowieckie zajęły Lignicę.

ewakuację resztek garnizonu zawiązać należy marynarce.

DALEKI WSCHÓD

Cztery lotniskowce brytyjskie pod osłoną okrętów liniowych i lekkich dokonały dalekiego wypadu z Ceylonu na Sumatrze...

Nadeszły też dalsze dane o akcji na Filipinach, zakończonej wtargnięciem Amerykanów do stolicy archipelagu — Manili...

Chyba nigdy powrót nie odbył się tak sprawnie i zwycięsko i w tak trudnych warunkach geostrategicznych — w dodatku o tysiące mil od własnych podstap operacyjnych...

Chyba nigdy powrót nie odbył się tak sprawnie i zwycięsko i w tak trudnych warunkach geostrategicznych — w dodatku o tysiące mil od własnych podstap operacyjnych...

Chyba nigdy powrót nie odbył się tak sprawnie i zwycięsko i w tak trudnych warunkach geostrategicznych — w dodatku o tysiące mil od własnych podstap operacyjnych...

Chyba nigdy powrót nie odbył się tak sprawnie i zwycięsko i w tak trudnych warunkach geostrategicznych — w dodatku o tysiące mil od własnych podstap operacyjnych...

Chyba nigdy powrót nie odbył się tak sprawnie i zwycięsko i w tak trudnych warunkach geostrategicznych — w dodatku o tysiące mil od własnych podstap operacyjnych...

Z tygodnia na tydzień

5 lutego: Wojska sowieckie zajęły Gorzyca /Goeritz/ między Kistrzyniem a Stubicami /Frankfurt/ oraz Zellin na ptn. zach. od Kistrzyna...

6 lutego: W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie przekroczyły Odrę między Wrocławiem a Opolem...

7 lutego: Ogłoszono oficjalnie o konferencji Trzech w rejonie Morza Czarnego...

8 lutego: Wojska amerykańskie wkroczyły na teren Rzeszy Niemieckiej przez rzekę Sure i Owr.

9 lutego: Wojska amerykańskie wkroczyły na teren Rzeszy Niemieckiej przez rzekę Sure i Owr.

10 lutego: Wojska sowieckie zajęły Elbląg i Iławę.

11 lutego: Wojska amerykańskie wkroczyły na teren Rzeszy Niemieckiej przez rzekę Sure i Owr.

12 lutego: Wojska amerykańskie wkroczyły na teren Rzeszy Niemieckiej przez rzekę Sure i Owr.

13 lutego: Wojska amerykańskie wkroczyły na teren Rzeszy Niemieckiej przez rzekę Sure i Owr.

14 lutego: Wojska amerykańskie wkroczyły na teren Rzeszy Niemieckiej przez rzekę Sure i Owr.

15 lutego: Wojska amerykańskie wkroczyły na teren Rzeszy Niemieckiej przez rzekę Sure i Owr.

16 lutego: Wojska amerykańskie wkroczyły na teren Rzeszy Niemieckiej przez rzekę Sure i Owr.

ewakuację resztek garnizonu zawiązać należy marynarce.

Chyba nigdy powrót nie odbył się tak sprawnie i zwycięsko i w tak trudnych warunkach geostrategicznych — w dodatku o tysiące mil od własnych podstap operacyjnych...

Chyba nigdy powrót nie odbył się tak sprawnie i zwycięsko i w tak trudnych warunkach geostrategicznych — w dodatku o tysiące mil od własnych podstap operacyjnych...

Chyba nigdy powrót nie odbył się tak sprawnie i zwycięsko i w tak trudnych warunkach geostrategicznych — w dodatku o tysiące mil od własnych podstap operacyjnych...

Chyba nigdy powrót nie odbył się tak sprawnie i zwycięsko i w tak trudnych warunkach geostrategicznych — w dodatku o tysiące mil od własnych podstap operacyjnych...

Chyba nigdy powrót nie odbył się tak sprawnie i zwycięsko i w tak trudnych warunkach geostrategicznych — w dodatku o tysiące mil od własnych podstap operacyjnych...

Chyba nigdy powrót nie odbył się tak sprawnie i zwycięsko i w tak trudnych warunkach geostrategicznych — w dodatku o tysiące mil od własnych podstap operacyjnych...

Chyba nigdy powrót nie odbył się tak sprawnie i zwycięsko i w tak trudnych warunkach geostrategicznych — w dodatku o tysiące mil od własnych podstap operacyjnych...

Chyba nigdy powrót nie odbył się tak sprawnie i zwycięsko i w tak trudnych warunkach geostrategicznych — w dodatku o tysiące mil od własnych podstap operacyjnych...

Chyba nigdy powrót nie odbył się tak sprawnie i zwycięsko i w tak trudnych warunkach geostrategicznych — w dodatku o tysiące mil od własnych podstap operacyjnych...

JULIAN GINSBERT

25 lat Polskiej Marynarki Wojennej

*"Za to coście dotychczas zrobili dla chwały i honoru Rzeczypospolitej oficerowie, podoficerowie i marynarze — dziękuję Wam z całego serca".
Wice-admirał J. Świrski.*

Któż jest bardziej powołany do wypowiedzenia tych słów, niż obecny Szef Kierownictwa Marynarki Wojennej, który był w kolebki narodzin nowoczesnej floty polskiej i przez całe dwadzieścia pięć lat czuwał nad jej rozwojem. Pod jego okiem wyrastały na piaszczystych Gdyni pierwsze budowle, a na fale Zatoki Gdańskiej spływały pierwsze okręty Rzeczypospolitej, aby później w pamiętnych dniach września 1939 roku otrzymać chrzest bojowy i spełnić żołnierski obowiązek.

SPRAWA ROZBUDOWY MARYNARKI PRZED WOJNĄ

Nie czas i nie miejsce naświetlać tutaj, ile i jakich trudności trzeba było zwałczyć i oporów pokonać, aby polska myśl morską mogła się zagnieździć w tak łagodnym społeczeństwie, jakie Polska przedstawiała w dniach swego odrodzenia państwowego. Nie czas wykazywać dzisiaj, jak płonne i bezpodstawne były wątpliwości co do roli i możliwości marynarki wojennej na tak ograniczonym terenie działania i wobec tak olbrzymiej przewagi na morzu ewentualnych przeciwników. Przebieg tej wojny wykazuje, a obrona Helu dowodnie uzasadnia, że rację mieli orędownicy polityki morskiej, a nie ostrożni politycy, którzy widzieli jeno trudności i wydatki, a istnienie floty uważali tylko za kosztowną zabawkę w ręku paru oficerów marynarki. W przeciwieństwie do tej postawy społeczeństwo polskie w najszerszym tego wyrazu znaczeniu przyswoiło sobie myśl morską bardzo szybko i całkowicie. Można powiedzieć więcej — społeczeństwo rozmiłowało się w morzu i w swoich okrętach. Rozwój "Ligi Morskiej i Kolonialnej", dziesiątki tysięcy uczestników Święta Morza, potok składek na okręty podwodne pływający od biednego społeczeństwa, zawsze nadmierna ilość ochotników do służby morskiej — oto świadectwa stosunku obywateli do idei morskiej.

Naród instynktownie wyczuwał, że instrumentem do utrzymania prawdziwej wolności i niezależności gospodarczej oraz znaczenia międzynarodowego jest marynarka wojenna i marynarka handlowa. Niestety, stanowisko tak zwanych czynników politycznych tylko częściowo było zgodne z wolą narodu.

Dlatego Polska Marynarka Wojenna weszła do wojny w rozmiarach nie odpowiadających naszym możliwościom i naszym dążeniom politycznym. Mimo to odegrała ona rolę, której znaczenie polityczne ocenione będzie w pełni dopiero wówczas, gdy znane będą wszystkie tajne dokumenty dyplomatyczne z okresu tej wojny.

ROLA MARYNARKI W CZASIE WOJNY

Biorąc jednak pod uwagę same tylko fakty, musimy stwierdzić, że dzięki swej nielicznej Marynarce Wojennej Polska nigdy ani na chwilę nie przestała walczyć, że kiedy zamilkły strzały regularnych oddziałów wojska, a nowe formacje dopiero się tworzyły we Francji, a później w Wielkiej Brytanii, okręty polskie walczyły bez przerwy, przypominając światu, że Polska nie została pokonana choć po bita w polu i że dopóki bodaj na jednym okręcie powiewa bandera Rzeczypospolitej, żadne traktaty nie mogą imienia Polski wymazać z kart świata.

Wielkie narody współczesne opierają swoją mocarstwowość na morzu i na potęgę morską. Pod tym też kątem widzenia oceniamy swoich sprzymierzeńców. Znamienna jest w tym względzie opi-

nia najstarszej potęgi morskiej w dziejach współczesnych — Wielkiej Brytanii. W pierwszych dniach obecnej wojny Flota Brytyjska z pewną ostrożnością odnosiła się do Polskiej Marynarki Wojennej, nie tylko ze względu na jej liczebność, ale także jej młodość. Dzisiaj, po pięciu latach wspólnych walk opinia ta zmieniła się całkowicie. Dość wspomnieć, że Wielka Brytania — jedyna wśród naszych sojuszników, i w tak nieprzychylnym dla nas momencie politycznym — ustami historyka Floty Jego Królewskiej Mości Brayan'a Tunstall'a w dwudziestopięcioletniej Polskiej Marynarce Wojennej tak ją ocenia:

DWIE OCENY BRYTYJSKIE

"Dzisiaj przypada dwudziesta piąta rocznica utworzenia państwa polskiego jako państwa morskiego na wybrzeżach Bałtyku. Jest to trzeci podobny wypadek w historii Polski. W początkach średniowiecza Polska była państwem morskim do czasu, gdy niemiecki związek hanzeatycki i Zakon Krzyżacki odparły ją od Bałtyku. W piętnastym wieku Polska jeszcze raz odzyskała swą pozycję na morzu, ale utraciła ją znowu wskutek rozbioru państwa przez Prusy, Austrię i Rosję.

W krótkim okresie dziewiętnastu lat od chwili pojawienia się Polski po raz trzeci jako europejskiego państwa morskiego do wybuchu obecnej wojny Polska stworzyła jądro świetnej marynarki wojennej, jakkolwiek ćwiczonej tylko do służby na Bałtyku, oraz marynarkę handlową, w której skład weszło kilka nowych, dużych statków oceanicznych. Innym wielkim osiągnięciem Polski było wybudowanie na jałowych piaszczach wielkiego portu morskiego Gdyni. Nie można było wybrać lepszego miejsca pod ten port, biorąc pod uwagę fakt, że — poza Gdańskiem — Polska posiadała tylko 75 km piaszczystych brzegów morskich.

Zaszczyt pierwszych strzałów oddanych w tej wojnie morskiej przez Polską Marynarkę Wojenną po stronie Sojuszników, przedarł się okrętów polskich do Wielkiej Brytanii i przekształcił się z floty bałtyckiej na flotę oceaniczną — jest już częścią wielkiej historii wojny morskiej".

A pierwszy Lord Admiralicji Alexander tak się wyraził o działaniach morskich Polaków:

"Za życia Konrada — Korzeniowskiego daremnie było by szukać bandery polskiej na siedmiu morzach. Jakżeż inaczej jest dzi-

szaj. Gdziekolwiek w trakcie działań wojennych obecnej wojny na morzach zbierze się więcej okrętów, tam prawie zawsze widzi się jedną lub więcej polskich flag, powiewających albo na polskich okrętach albo na statkach polskiej marynarki handlowej, albo wreszcie na jednych i drugich. Wobec niewielkich rozmiarów polskiej floty, liczba operacji, w których Marynarka Polska brała udział, jest wprost nie do uwierzenia".

DOWÓDCY I ZAŁOGI

O zdolności zaś załóg, o ich opanowaniu sprzętu i sposobów prowadzenia walk morskich mówią inne fakty, tym znamiennejsze, że dotyczą oficerów brytyjskich, którzy nie tak łatwo dają się przekonać, że ktoś może znać się na wojnie morskiej równie dobrze jak oni sami, co więcej — że okręty brytyjskie mogą być dowodzone przez oficerów innej narodowości. A tak się właśnie dzieje. Dowódcy polskich okrętów w wielu wypadkach dowodzą zespołami, w których skład wchodzi okręty brytyjskie, kanadyjskie, amerykańskie i innych państw europejskich. W wielu wypadkach dowodzą eskortami wielkich konwojów, co jest wyrazem całkowitego zaufania dowódców floty brytyjskiej.

Takie stanowisko marynarze polscy mogli zdobyć tylko dzięki doskonałemu wyszkoleniu i bezgranicznemu oddaniu służbie.

Tym zaletom polskich marynarzy zawdzięczać również należy, że Admiralicja Brytyjska — w miarę swych możliwości technicznych — natychmiast uzupełnia straty Marynarki Polskiej, oddając na miejsce straconego okrętu nowy okręt, a nawet dając więcej. Dlatego po pięciu latach wojny flota polska liczy więcej jednostek bojowych niż w chwili wybuchu wojny, pomimo poniesionych strat, nadto w skład tej floty wchodzi już jeden krążownik, a więc jednostka, o której posiadanie Kierownictwo Marynarki Wojennej walczyło na próżno przez dwadzieścia lat. Gdyby zaś Marynarka Polska rozporządzała liczniejszym składem osobowym, aniżeli rozporządza, prawdopodobnie flota nasza byłaby jeszcze liczniejsza.

Dlatego w swym rozkazie Szef Kierownictwa Marynarki Wojennej wice-admirał Świrski mógł stwierdzić, że marynarze polscy wiele "uczynili dla chwały i honoru Rzeczypospolitej".

WŁADYSŁAW PŁASKOTA

Okręty Rzeczypospolitej "Grom" i "Błyskawica" pod Oksywem. Pierwszy z tych okrętów zginął bohatersko w pobliżu Norwegii dnia 4 maja 1940 r., drugi pełnił bez przerwy służbę wojenną u boku Marynarki Brytyjskiej i ma za sobą chlubne osiągnięcia bojowe



Listy o wspólnych sprawach

List drugi

Kochany

Z prawdziwą przyjemnością przeczytałem Twój list. Cieszy mnie bardzo, że sprawa zachowania właściwej postawy moralnej przez żołnierza polskiego w każdej, najtrudniejszej nawet sytuacji, stała się przedmiotem rozmów w waszym gronie. Od przeprowadzenia w sobie, przetrwania takich właśnie zagadnień — nie uwierzyć, jak wiele zależy.

Nie jestem bynajmniej zaskoczony powiedzeniem kogoś, iż "frąjerzy gadają o moralności, a cały świat patrzy tylko za forszą i ma rację". Trudno mi ocenić, czy powiódzenie to oparte było na szczerym przekonaniu, czy może nawet na żalu, że jest inaczej, niż by serce chciało. Być może jakiś sąd, trzeba wiedzieć o człowieku znacznie więcej, niż to, w jakim humorze obudził się dzisiaj rano. Nie jestem także ostatecznie przekonany by rzeczywiście "cały świat" nie myślał o niczym innym, jak o "forsie".

Ala przyjmijmy nawet, że kolega Twój ma rację. Czy zmienia to w czymkolwiek potrzebę posiadania mocnej postawy moralnej przez nas Polaków?

Po świecie rosną ananasy i migdały; w Polsce nikt ich nigdy nie widział, ale nasze pospolite ziemniaki, to znowu oni muszą sprowadzać za drogie pieniądze, bo tam się nie udają. Każdy kraj na świecie ma własne warunki życia, własną charakterystykę i cele, ku którym idzie. Szkoci na przykład bawią się w piątki, a martwią w niedziele — my odwrotnie. Trudno się spierać, kto ma rację. Inny zwyczaj i obyczaj.

Odmienne były i są warunki bytowania Anglików, a inne Polaków, inne są też rysy charakteru żołnierzy obu narodów. Bo tylko zastanów się dobrze. U nich w wojsku, przez wieki obowiązywała tradycja wojska najemnego. Ktoś tam, bardzo często londyński kupcy planowali jakąś wyprawę wojenną. Nikt między nimi nie opowiadał wiele o "stusności sprawy" — kalkulowali raczej, czy wyprawa się opłaca. Potem wynajmowali żołnierzy, którzy ze swej strony tak samo wiedzieli, co dostaną i wysyłali ich za morze. Taki żołnierz najemny jechał w dalekie kraje, gruntownie obojętny, o co i przeciw komu wojna się toczy.

Myśmy za dawnych czasów też miewali nieliczne oddziały wojsk najemnych, ale wojny nasze nigdy nie toczyły się za morzami. Wojny w Polsce nie były nigdy dla nikogo interesem łatwym do obliczenia rozumem, a trudnym do zrozumienia dla serca. Znakomita większość polskich wojen miała charakter obronny i dlatego żołnierz polski bez długiego tłumaczenia wiedział zawsze, o co się bije.

Prawda — nie raz jeden sprawa Polski połączona bywała ze sprawami innych narodów i w wyniku tego żołnierze Rzeczypospolitej bić się musieli w krajach, o których nigdy przedtem nie słyszeli. Nie zmienia to w niczym faktu, że bijąc się nawet najdalej od swej Ojczyzny, żołnierz polski nigdy nie stawał się najemnikiem z zawodowym, ale zawsze mocno podkreślał idea-

we przyczyny, dla których do walki przystąpił.

Tacy już jesteśmy, taka jest nasza natura, mamy, jak każdy inny naród, swoje zalety i swoje wady. Ja osobiście wcale nie uważam za wadę tego gorętszego od innych traktowania spraw ideowych.

Więcej, powiem Ci, że, gdyby nie ta nasza właściwość, nie udało by się nam nigdy, po wrześniu, gdy zgniecenie zostaliśmy dziesięciokrotną przemocą — zaraz, natychmiast, odbudować Wojska Polskiego we Francji, a potem jeszcze raz tutaj.

Bo pomyśl sobie tylko sam, Bałagan, jak jasna cholera. Każdy facet z innej parafii. Różnego rodzaju biadące i naprawiacze laj i baj od rana do nocy. A do tego sami bohaterowie i nie ma kogo posłać, by przyniósł węgla do kuchni. Objęźdzenie, krzyki jak na jarmarku...

Aż z tego wszystkiego i to wcale nie tak powoli — dowództwo, wykład, strzelnica, baon, pułk, sztab, bitwa jedna, bitwa druga, i wielkie "Oooo" wszystkich gapiów i "ale, jak te Polaki bić się potrafią". A bić się — to organizacja, to dowództwo, to głowa na karku, to serce w piersiach...

Niech mi jaki inny naród zrobi taką sztukę. Niech mi pokażą to samo bez tego naszego "nawnego" obnoszenia Polski po każdym kącie. To jest wielka rzecz, to jest jedyne, mocne spoidło, które nam pozwala trwać w formie zorganizowanej, mimo takich ciosów, jakich doznajemy.

Każdy medal ma dwie strony a kij dwa końce. Silne napięcie ideowe ma to do siebie, iż z czasem wytwarza poczucie wyższości, brak wyrozumiałości dla innych i skłonność do mówienia kazań, czy kto słucha czy nie.

Wiesz dobrze, ile się u nas krytykuje, ile rzeczy od razu "musi pójść inaczej albo niech to wszystko szlag trafi..." i t.d. Tak nie można. Tolerancja, czyli wyrozumiałość, musi iść zawsze w parze z silną wiarą w słuszność własnego stanowiska. Gdyby było inaczej... nie dobrze.

Łudnie są tylko ludźmi i nie można od nich wymagać, by przez dwadzieścia cztery godziny na dobę pozowali do obrazu. Czolg, maszyna, a też po tysiącu mil musi iść do remontu. Myśmy już wiele tysięcy mil zrobili, po mrozie, słońcu i zawiści — aż dziw, że to jeszcze tak dobrze wszystko ciągnie.

A końca jeszcze nie widać. Trzeba tak rozumnie gospodarzyć siłami, by starczyło i na dziś i na jutro, trzeba zwłaszcza unikać wszystkiego, co może powiększyć wewnętrzne tarcie i zużycie.

Na jedną jeszcze okoliczność chciałbym Ci zwrócić uwagę. Wiesz dobrze, ilu i jakich wrogów ma Polska. Czy przypuszczasz, że nie znają oni charakteru Polaków, że nie znają oni charakteru Polaków, że naprawdę lekceważą sobie nasz patriotyzm i nasze zdolności organizacyjne, które potrafią zrobić wojsko i to dobre wojsko z niczego?

Tacy naiwni to oni nie są. Naciski na nas idą wszystkimi dro-

gami. Bezpośrednie, pośrednie... wszystko, by tylko zburzyć w nas te właściwości, tak niebezpieczne dla ich zbrodniczych celów.

Zniechęcić Polaków... Odebrać im jednolite kierownictwo...

Porozbijając na drobne grupy... Jednych skłócić między sobą, a drugich zaciągnąć do własnego obozu.

Raz słyszysz, to, jak syk żmii, kiedy indziej, zdawało by się, że to anioł opiekun daje dobre rady.

Na takie rzeczy trzeba mieć nos i umieć samemu bez niczyjej rady ani pomocy, bo często nie ma kiedy, odróżnić i pojąć ku czemu zmierzają groźba, czy namowa.

Nasze chłopaki, właśnie dlatego, że mają postawę moralną dają sobie radę znakomicie. Słucha siebie taki, widziałem kiedyś, niby potakuje i uważa. Ty gadaj swoje a ja wiem lepiej. Pięknie to wszystko niby wygląda a mój głos wewnętrzny mówi "nie rusz, śmierdzi". I po wszystkim.

Jeszcze jedno. Piszesz, że Kazek tak się martwi, że zubożętniał na wszystko, buty przestał czyścić i w ogóle się opuścił.

Powiedz mu, że nikt nie pozna się na jego intencjach, ani nikt nie rozumie takiego protestu przeciw krzywdzeniu Polski. To są dwie zupełnie różne rzeczy.

Ala gdyby to nie poskutkowało przyjdź do niego, kiedy będzie sam, spojrzij mu w oczy i powiedz: "Trzymaj się ostro", to i jemu i Tobie i naszej sprawie napewno pomoże. Twój kochający Cię brat

JAN

ZADANIE

Było to w ósmym dniu po D day /dnia rozpoczęcia inwazji/, a więc mówiąc językiem oficjalnych komunikatów D + 8. O.R.P. "Piorunowi" i H.M.S. "Ashanti" wyznaczono następujące zadanie:

"... do zmroku patrol w Kanale między pozycją TT a pozycją KK. Patrol skończyć w odpowiednim czasie, tak, by przejść przez pozycję DD — 4 mile na Nord od latarni Roches Douvres o godz. 23,30.

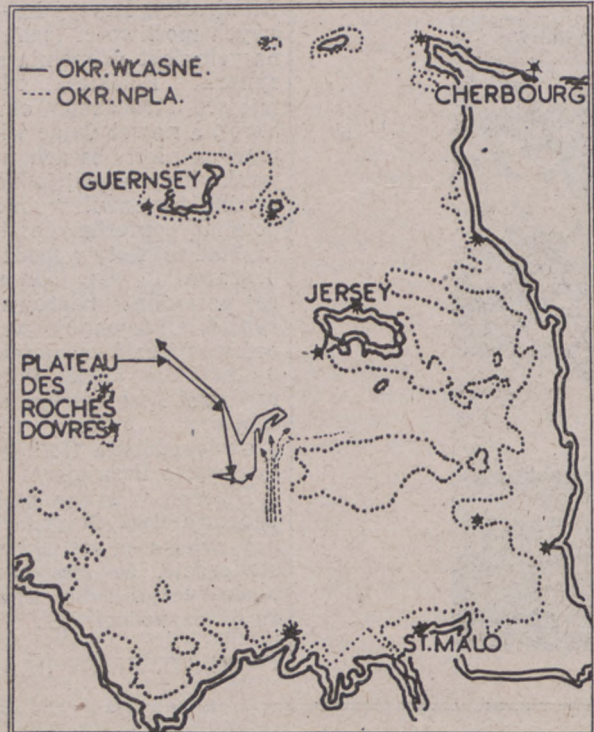
Cel patrolu: zniszczenie żegluga npla. Specjalną uwagę należy zwrócić na okręty typu "M", jako najbardziej wartościowe w obecnej sytuacji jednostki npla. Drogi prowadzące z Cherbourg na Południe są pod niestannym bombardowaniem z powietrza i należy się spodziewać, że nieprzyjaciel będzie próbował ewakuować rejon Cherbourg morzem do St. Malo, lub nawet dalej na Zachód".

WYRUSZENIE

Wyszli z portu popołudniu, żegnani dzikim wrzaskiem mew, bijących się za rufą. Na morzu wiatr południowo-zachodni wzbudził powierzchnię w skiby i brzdędy. Wrzynając się w nie, dziób okrętu wyrzucał do góry śnieżne pióropusze wody. Szli dużą szybkością i raz po raz cały pokład spryskiwała zimna słona woda. Nasz "Piorun" szedł pierwszy a "Ashanti" z tyłu za rufą.

Zmrok zapadał powoli i ściemniało się później, bo dopiero o 23,30. Kiedy załoga biegła na stację alarmu bojowego zachodnia poleć nieba grała czerwonymi, jaskrawymi kolorami, gdy wschód spowity był kirem nocnym.

"Jak pan porucznik myśli, spotkamy dziś szkopa?" — pytał



w dalocelowniku Ugryn oficera artylerzystę.

"Jeżeli latarnie na lądzie będą świeciły, to chyba spotkamy" — odpowiedział oficer nakładając telefon na głowę.

Niemalże w tej samej chwili usłyszeli meldunek z pomostu: "Kąt kursowy prawo 10, wylbski latarni!" Nawigacyjny dodał:

"Tak, to pewnie latarnia Roches Douvres".

"NIEPRZYJACIEL W NAMIARZE"

Noc zapadała szybko — ciemna, bezgwiazdka, bezksiężycowa. W pewnej chwili, w 25 minut po północy, z kabiny podsluchu nawodnego przyszedł meldunek o nieprzyjacieli: "Nieprzyjaciel w niamiarze 120".

"Ashanti" potwierdza meldunek. — "Przekazać namiar do nawigacyjnej — rozkazuje Dowódca. — Nawigacja — nachyla się Dowódca nad tubą prowadzącą do kabiny nawigacyjnej — a czy "to" wygląda na jednostki nieprzyjacielskie nawodne?"

"Tak jest panie komandorze" — meldują z nawigacyjnej — idzie kursem Nord szybkością około 15 węzłów".

"Dobrze, idę na niego, zwiększam szybkość" — mówi Dowódca i jednocześnie każe przekazać na "Ashanti" zmianę kursu i szybkości.

"Skierować artylerię na kąt kursowy prawo 10, przygotować się do oświetlenia" — rozkazuje Dowódca.

Szylepski przekazuje rozkazy Dowódcy do dalocelownika, a porucznik Kopeki komenduje do dział oświetlającego: — "Zgrywać z dalocelownikiem, świecenie bliskie... Prawo 3... seria z trzech..."

'Piorun' u boku 'Ashanti'

"OGNIA!"

/Opowiadanie oficera artylerii:/
"Skierowuję działą na spodziewanego nieprzyjaciela. Słyszę jak Kopeki podaje rozkazy do dział oświetlającego. Odległość zaczyna raptownie maleć. Z centrali zameldowali, że dane są nastawione, że konżugator jest w ruchu, i że artyleria jest gotowa. Melduje Dowódca: "Artyleria gotowa". Rozpoczęła się najgorsza chwila wyczekiwania. Odległość meldują już pięć tysięcy. Zaczynam się wierać niecierpliwie. Już jest cztery tysiące. Jeszcze jednostek nie widać. Kiedyż nareszcie Dowódca zdecyduje się na oświetlenie. Już jest trzy tysiące osiemset, a po chwili, trzy i pół tysiąca... — krzyczy Ugryn — o tu... trochę w prawo, kręć w prawo Rurek" — krzyczy głośnie.

Ja też już widzę... są psubraty... melduje na pomost: "Widzę trzy sylwetki. Kąt kursowy prawo 30".

W tej samej chwili rozpoczęliśmy oświetlać. Bój się rozpoczął.

Poprawiłem poprzednio nastawioną inklinację i szybkość npla. I urzasnąłem:

"Ogień ciągły salwami... Ognia!"

Kiedy pierwsze pociski oświetlające zapaliły się nad nieprzyjacielem, zauważyłem siedem sylwetek i w tej samej chwili z tych sylwetek poczęły sunąć do nas różnokolorowe punkciki. Zielone i czerwone. Zielone, czerwone i żółte. Punkcików tych robiło się coraz więcej i więcej, a zbliżyły się potwornie szybko. A kiedy przelatowały nad okrętem, syczały, wylały, miauczały i hałas straszny powstał dokoła okrętu. Jakieś bzyki, trzaski,

łankami rani ciężko celowniczego st. mar. Zajączka i bosmana ewidencyjnego Brosickiego. Jęczącego Zajączka pół ciągnie, pół niesie do Izby Chorych Zastępcą Dowódcy okrętu.

Lecz działą "Pioruna" i "Ashanti" na salwy npla odpowiadają dwoma salwami. Na pojedyncze trafienia, całym salwami trafnych. Marynarze przy działach zwijają się jak Wołodyjowski wśród czerni Kozaków. A zwijanie się koło dział to stałe podstawianie karku pod ulewę pocisków i rozpalonych do czerwoności wystrzelonych pustych lusek. Okręt trzęsie się raz po raz, przechyla się czasem na burtę przy raptownych zwrotach.

W maszynowni i kotłowni, przy kolach i przy zegarach podoficerowie i marynarze, ze swymi dwoma oficerami, odczuwają walkę, sądząc tylko po huk i wstrząsach co się tam na górze na pokładzie dzieje. Nerwy naprężone do ostatnich granic, a trzeba pracować i czuć spokojnie, sprawnie, nie nerwowo.

Teraz wiedzą na przykład, że "pom-pom" zaczął strzelać. I chociaż wiedzą dobrze, że jeżeli "pom-pom" rozpoczyna strzelanie do celów nawodnych oznacza to, iż nieprzyjaciel jest bardzo blisko, jakos różnie się czują. "Pom-pom", a właściwie jego miarowe bębnienie, działa kojąco, człowiek jaśnieje na świat patrzy, i mówi sobie: "O... to "pom-pom" strzela...".

Teraz skręcamy w lewo, bo okręt położył się na prawą burtę, a teraz "Oerlikon" zaszczekał, a teraz... O Boże, cóż to takiego... cóż to za straszny wstrząs... może torpeda... może bomby... co to być może... Niepewność, czekanie i tysiące myśli odtwarzających walkę, tam na górze, na pokładzie. Ale mijają chwile, okręt wciąż strzela i nie ma żadnych rozkazów alarmujących z pomostu... Serce wciąż mocno bije... O, teraz jest dzwonek... uwaga, 20 obrotów więcej...

ATAK TORPEDOWY

/Ze sprawozdania Dowódcy:/

"Zdecydowano, że cel jest wart salwy torpedowej, którą oddano o godzinie 00,48 uzyskując co najmniej jedno trafienie w dziobowe części jednego z okrętów npla".

Oficer-torpedysta od dawna niecierpliwł się czekając na decyzję strzału torpedowego. To też meldował stale, że jest gotów do strzelania torped. Dowódca widząc w świetle oświetlających pocisków, że cele są duże, decyduje się na atak torpedowy. Tej nocy po raz pierwszy w dziejach Marynarki Polskiej wystrzelono do nieprzyjaciela torpedy z okrętu nawodnego.

Torpedy poszły. Jedną za drugą fukaly z aparatu i wpały w czarną czeluść nocną. Poszły wszystkie.

Po chwili blask straszliwy rozdarł czarne tło nocne i głuchy wstrząs zachwiał okrętem. Dostał! Dostał! Dostał!

Boże, cóż za ogień, co za łuna, co za dymy. Okręt nieprzyjaciela tonie w świetle własnego pożaru. Widać, jak Niemcy spuszczały dwie tratwy na wodę i skaczą z pokładu.

CHWIŁA PRZERWY

W międzyczasie "Ashanti" załatawia się z dwoma innymi okrętami i ogień ze strony nieprzyjaciela wyraźnie słabnie.

/Ze sprawozdania Dowódcy:/

"Nieprzyjaciel pozostaje w tyle, przerywamy ogień i zmieniamy kurs na 040, żeby zejść nieprzyjacielowi drogą do najbliższego portu i rejonu, gdzie znalazłby się pod osłoną własnych baterii nadbrzeżnych".

Jest godzina 00,55. Walka trwa już pół godziny. Przerwa. Marynarze sprzątają przedział laski rozpalone do czerwoności. W Izbie Chorych kapitan Danilewski i bosmat Roszkowicz opatrują rannych. W kuchni kucharz załogowy mar. Danilowski przygotowuje kawę dla całej załogi. Bój nie skończony, a chłopaki mają pragnienie. Usta spieczone, ręce brudne, pokaleczone, pokrwawione, twarze osmalone dymem i ogniem. Smród spalonego prochu rochodzą się po całym okręcie. Przy "pom-pomie" całe stopy wystrzelonych lusek.

Tymczasem, idąc na przecięcie ewentualnej drogi ucieczki nieprzyjaciela... "obydwa okręty dostają się pod

silny ogień baterii nadbrzeżnych, nieprzyjemnie celny".

/Ze sprawozdania Dowódcy/

MY STRZELAMY DO NPLA I NPL STRZELA DO SIEBIE

W 10 minut później...

"Kąt kursowy lewa burta — oświetlać!" — porucznik Kopeki podaje znów komendę do dział oświetlającego, a oficer art. w dalocelowniku podaje dane do centrali. Znow zakwitły biało-żółte gwiazdy na niebie i wolno opadając oświetliły pięć jednostek nieprzyjaciela. Jeden z okrętów nieprzyjaciela pali się dużym żółtym płomieniem.

W dalocelowniku:

"Ugryn, tego pierwszego z prawej, Rurek widzisz go?"

"Tak jest".

"No to na niego". "Centrala — podaje oficer art. — Inklinacja lewo, 100, szybkość npla. 10... Ogień ciągły salwami... Ognia!"

I znów buczki "pal" zabrzmiały w dalocelowniku i okrętem rzucało po każdej salwie.

/Ze sprawozdania Dowódcy:/

"W tej fazie walki widać wyraźnie, że nieprzyjaciel jest zdezorientowany i zdezorientowany. Okręty nie są w żadnym szyku i w pewnym momencie widać wyraźnie, jak dwa okręty npla otwierają ogień do siebie".

Rzeczywiście, zielone i czerwone punkciki krzyżują się. Strzelanina Niemców pomiędzy sobą trwa czas dłuższy. Nie przeszkadzamy im, ale pomagamy własnym ogniem. Ogień npla jest dużo słabszy, niż na początku bitwy.

WYKONCZAMY OKRĘT STRZELAJĄCY "KOMETAMI"

Wtem stało się jasno, jak w dzień. Zapalił się nad okrętem jasny płomień, a wkrótce drugi i trzeci. O Błogosławiona Jasności — krzyknęli wręczyciele i ładownicze przy działach. O Boże, to pociski oświetlające z baterii nadbrzeżnych — pomyśleli na pomoc.

Baterie nadbrzeżne w ten sposób chciały pomóc własnym okrętom. To też wkrótce wykwitło przy burcie parę potężnych fontann wody, a z jednego okrętu npla oderwała się i poleciała w naszym kierunku kometa. Pocisk dziwny jakiś, wyglądający na raketę i ciągnący za sobą długi świetlny ogon.

Wkrótce oderwał się drugi, a potem trzeci, czwarty...

Dowódca kazał skierować ogień na okręt nieprzyjacielski, strzelający dziwnymi pociskami. Strzela już do niego "Ashanti", a po chwili "Piorun" splunął w jego kierunku.

Widać pierwsze upadki w prawo od nieprzyjaciela, teraz są krótkie, lecz potem coś na nim błysnęło, a za chwilę buchnął jasnym płomieniem. Pali się pomost, pali się rufa. A "Ashanti" i "Piorun" plastrują ciągle przekłety okręt.

ELEKTRYKARZE — NAWIGATORZY — RADIOCI

Od długiego strzelania i na różnych kątach kursowych, zepsuł się repetytor żyrokompasu. Elektrykarze szybko wzięli się do roboty. Biegają z latarkami w ręku, starając się usuwać kłopotliwą awarię. Dowódca każe nadać sygnał na "Ashanti".

"Mam awarię żyrokompasu. Wyjdź naprzód i obejm prowadzenie".

"Ashanti" wychodzi na czoło i rozpoczyna pościg za uciekającymi resztkami wroga.

W kabine nawigacyjnej widać ciężką pracę. Kursy są co chwila zmieniane, szybkość też. Miejsca zdumienie ma, a podsluch melduje raz po raz nowe sylwetki. Jest w tej przestrzeni bardzo gorąco i cała trójka nawigatorów w koszulach, z zawiniętymi rękawami, chodzi dokoła wykreslacza i mapy, mierzy coś cyrklem, przykładając ekerki i pije kawę. Całe morze kawy. Kawa jest już na wszystkich

pozycjach i sandwiche są również rozdane. I jak jest tylko wolna chwila w strzelaniu, każdy się posila.

/Ze sprawozdania Dowódcy:/
"Godzina 01,25. Rozpoczęliśmy pościg, chodząc kursami około NE i SW".

Walka już trwa godzinę. W radiostacji siedzą operatorzy ze słuchawkami na uszach i z ręką na kluczu. Trzeba dobrze uważać i nie wolno myśleć dać daleko się ponieść, aby nie przegapić sygnału. A do kabiny radiowej przychodzi tak skąpe wiadomości. I tylu rzeczy trzeba się domyślać. Ostatni sygnał wysłany był z okrętu o godz. 01,08, o tym, że spotkaliśmy siedem niemieckich jednostek typu "M" i że dwie spośród nich są już uszkodzone ciężko. No dobrze, ale od tego czasu tyle już minut upłynęło, a okręt wciąż strzela. Parę minut ciszy, a później kilkanaście — strzelaniny. A ląd też milczy. Żadnych sygnałów. Nikt nie nadaje.

KOŃCOWA FAZA WALKI

Tymczasem "Ashanti" gonii nieprzyjaciela i oba bratnie okręty likwidowały resztki zespołu niemieckiego. Kilkakrotnie baterie nadbrzeżne starały się temu przeszkodzić, kilkakrotnie jeszcze "Piorun" otrzymał trafienia od rozpaczliwie broniących się Szwabów, na szczęście bez wypadków z ludźmi.

W komorach amunicyjnych i przy podnośnikach, marynarze rozebrani do pasa, podają pociski i łuski do nienasyconych dział. Ile już tych pocisków podali... ile już ich przez te nasze ręce przeszło... i wciąż im jeszcze mało... i wciąż tam z góry krzyczą: "Podawać półpancerne"... "Podawać kruszące"... "Podawać bezblyskowe"... "Podawać oświetlające". Ręce już mdleją, pot rzęsiły krapie. Lecz dalej, hop do góry, jeszcze jeden dla tych sk... synów szkopów.

/Ze sprawozdania Dowódcy:/
"Godz. 02,26. Otworzono ogień do dwóch okrętów npla, z których jeden palił się. Ogień kierowany dał doskonałe rezultaty; po kilku salwach drugi okręt npla zaczął się palić".

POWRÓT

Bój się kończył. Oba okręty nasze zbliżyły się do baterii nadbrzeżnych i zostały silnie przez nie ostrzelane. Dowódca zdecydował się zakończyć walkę, bo nie wydawało się, aby który z okrętów nieprzyjaciela pozostał na placu. Nasze okręty rozpoczęły powrót do portu przez nakazane pozycje.

Nie wiedziałem czy się cieszyć, czy śmiać, czy płakać, czy jeść sandwiche, czy pić kawę, czy też pojsić spać. Dziękowałem tylko Panience Najświętszej za tę wspaniałą naszą Victorię. Nie wiedziałem czy iść ścisnąć każdemu ręce, czy też brać w ramiona te brudne osmalone twarze.

Byli mi wszyscy tacy bliscy jak bracia, tacy drodzy jak rodzeni. I Ty Dowódco, coś nas prowadził, i Ty Zastępcu, i Ty Nawigatorze, i Ty Kopeki, i Ty Suzi, i Ty Masłaku, i Ty Doktorze, i Ty Ludwiku, i Ty Charlie, i Ty Trapski, i Ty Korsarzu, i Ty Babuszkynie, i Wy wszyscy Szefowie i Podoficerowie i Wy wszyscy Marynarze.

Nieprawdą jest, że człowiek na wojnie tępieje i traci uczucia. Wydaje mi się, że one się potęgują, wzrastają i właśnie u mnie na przykład przepadają się we wrzuceniu zupełnie niemieckie. Bo gdy patrzyłem na Was, Wy biedni poranieni, gdy widziałem Wasze twarze, smutne i bolesne, toście z tych ócz moich głupich iły śmieszne wygniełli i rozmazali na brudnej, zarośniętej twarzy.

Szliśmy do portu, lecąc na skrzydłach zwycięstwa. Dostaliśmy sygnał radiowy od C. in C.: "Well done". Pochwała krótka i treściwa.

Idę spać. Jestem zmęczony nie tylko fizycznie.

/Ze sprawozdania Dowódcy:/
"Morale: Postawa załogi była godna najwyższej pochwały, przez cały ciąg akcji. Wielu młodych marynarzy, wykazało wysokie walory. Na szczególne podkreślenie zasługuje zachowanie się marynarzy w pobliżu palącego się parku amunicyjnego".

Wynik ogólny spotkania: dwa okręty wroga zatopione na pewno, dwa zastawione w stanie tonącym i prawdopodobnie też zatopione, dwa palące się mocno, a więc poważnie uszkodzone, jeden uszkodzony, prawdopodobnie zdołał uciec.

O.R.P. "Piorun", listopad 1944.

JERZY TRAPER

W pojedynkę . . .



STARTUJE

Idąc do samolotu, przypominam sobie ostatnie słowa odprawy: "Każdy kurs zachodni prowadzi do bazy" . . . Wspinam się po skrzydle do gondoli i wsuwam się w otwór kabiny. Mój mechanik, Klos, pomaga mi zapiąć pasy, po czym — jak zwykle — daje mi jednego papierosa, który wtykam pod kominiarke, aby go zapalić po powrocie. — *Good luck** — mówi Klos i zeskakuje na ziemię.

Ruszamy, i widzę, jak zawsze, podniesione keiuki naszych mechaników.

Start. Ryk silnika jest mocny i rześki. Toczy się, jak szorstki kamień szlifierski, porywając i odrzucając precz całe strzępy moich myśli i spraw, które łączą mnie z codziennym życiem prywatnym. Czuję, jak ich ubywa, jak wygładza się i wyostriża to, co nazywamy "nastrojem chwili"; jak polewuje się moja uwaga, jak skupia się coraz bardziej na zadaniu, w którym biorę udział, podczas gdy wszystkie inne odpryskuje, urywa się i pozostaje gdzieś daleko, coraz dalej poza mną. To wrażenie, lub może raczej to doznanie — jest tak silne, że odczuwam je niemal fizycznie. Można je porównać do pewnego stopnia ze stanem, jaki następuje po zażyciu prozaka na ból głowy, w chwili gdy ból ustaje i gdy wraz z uczuciem ulgi ogarnia nas miłe, jasne podniecenie.

Najpierw zapominam o tej nieznośnej dziewczynie, Jean: teraz naprawdę jest mi już obojętne czy pomyśli o mnie zanim powrócę, czy nie. Nawet już nie pamiętam, o co posprzeczałam się przed godziną. Potem wydłuża się, wstaje i urywa się myśl o urlopie, który już dwa razy musiałem odłożyć; potem o jakichś listach, na które jeszcze nie odpisałem, o kłopotach z krawcem w Anglii, o irytującym komentarzu politycznym w sprawie Polski w jakimś dzienniku, o nieudanym impasie przy brydżu . . .

Pozbywam się tego wszystkiego niejako mechanicznie, bez udziału woli, bez jakiegokolwiek wysiłku z mej strony, właśnie tak, jak nóż polerowany na kamieniu szlifierskim pozbywa się szczyrb i rdzy. Przychodzi mi jeszcze na myśl, że nie włożyłem wełnianych pończoch, bo zwykle było mi za ciepło. Teraz marzną mi kolana, lecz natychmiast pocieszam się, że się rozgrzeją — niech się tylko zacznie . . .

ZA LINIĄ FRONTU

Tymczasem mijamy linię frontu i wchodzimy w rejon, gdzie mają być dywizjony myśliwców niemieckich. Dywizjony, które mamy "wymieść" znad pola walki.

Sygnal do sztyku bojowego. Zapalam celownik, rozbiegam się po niebie. Słońce jest akurat na południu; oślepiam z prawej strony. — Wracając, będę je miał po lewej — myślę. — Każdy kurs zachodni prowadzi do bazy . . .

Na ziemi, głęboko w dole polują

* *Good luck* — szczęście Boże.

skują rzeki i kanały. Widzę cieniutkie pasemka dróg, mozaikę pól, rozrzucone miasteczka i wsie. Zdają się drzeć wśród przejrzystych, wyłaczanych słońcem mgiełek. Z tej wysokości nie widać tam wojny . . .

Wtem silnik potknął się w równym rytmie: kończy się benzyna w zbiorniku dodatkowym. Przełączam na główny i dociągam mocniej pasy, by stanąć z samolotem jedną całość.

I oto pada "zaproszenie do tańca"; słyszę komendę dowódcy skrzydła:

— Wszystkie samoloty pełny gaz! W tył, na lewo!

DWA SPOTKANIA

Robimy pełne okrążenie. W polowie skretu widzę splotyjące w dół "Focke Wulff", których ognia uniknęliśmy właśnie tym manewrem. Zaszły nas od słońca i nie udało się im . . . To dodaje mi

pewności siebie. Odczuwam podniecenie, podobne do emocji myśliwego, który już widzi zwierzyne i wie, że dojdzie do strzału.

Pada komenda: "Atakujemy!" — i czwórki samolotów idą w dół za uciekającymi "Focke Wulffami", które chybiły celu i widocznie wcale nie mają zamiaru próbować szczęścia w walce bez zaskoczenia. Jest ich mniej więcej tyle, ilu nas. Mamy teraz przewagę wysokości. Za pół minuty — nie! — za kilkanaście sekund otworzymy ogień . . .

Wtem — nowy rozkaz: — Wyciągnąć w słońce! Zbiórka nad ujściem rzeki!

W pierwszej chwili ogarnia mnie rozczarowanie i złość: dlaczego u licha puszczamy ich wolno?! Taka okazja nie nadarza się co dzień! Ale w skrecie na pełnym gazie widzę, że słuszność jest po stronie dowódcy: znów splotają na nas "Focke Wulff" . . .

Nie mogę ich policzyć: nie ma na to czasu, bo teraz kotłuje się dokoła jak w roju pszczoł. Jedne pędzą w dół, inne w górę. Niektóre idą wprost na nasze maszyny, mijając je w ostatniej chwili i przeciskając się nawet pomiędzy zwartymi czwórkami. Rozglądam się na wszystkie strony, by uniknąć zderzenia i czekam na sposobność. Słońce oślepiam . . . Wreszcie mam je za sobą, ale przed sobą nie mam już dowódcy!

Gdzieś się podział? Aha — jest jakiś "Spitfire". Dołączam, ale natychmiast rozpoznaję, że to nie on. Lecę więc ku najbliższej czwórce. To dywizjon 303 . . . Słyszę komendę:

— . . . tak, dobrze. Czwórkami razem. Spłyniemy ze słońcem!

Splotam razem z nimi, ale chcę bądź co bądź odnaleźć swoich, więc gdy 303 wyciąga — splotam nadal samotnie. Albo znajduję swoich niżej, albo "zakorszarę" w pojedynkę i wrócę oddzielnie.

POLUJĘ SAM

Daleko przede mną i dużo niżej suną trzy punkciki. Lecę w ich kierunku; rosną mi w oczach, ale ponieważ to tylko jedna trójka, więc — nie moi. Mimo to dopędzam ich. Byskają w słońcu na

tle ciemnej chmurki, sylwetki ich garbią się, pęcznią w głowach . . . i już wyraźnie rzeźbią się w kształty trzech "Focke Wulffów" . . . Ja zaś jestem wyżej. O wiele wyżej! . . .

Serce zaczyna mi bić mocniej. — Bliżej — myślę. — Bliżej. Jeszcze bliżej! . . . Jestem zupełnie na tle słońca, patrząc od nich. Nie powinni dostrzec mnie aż do ostatniej chwili.

Oglądam się jeszcze w tył, czy tymczasem ktoś inny nie snuje podobnych marzeń o mnie. Ale z tyłu jest tylko słońce; ogromne, jaskrawe, jakby pękało ze śmiechu . . .

Mierzę wzrokiem odległość od prawego Niemca. Będzie ze sto pięćdziesiąt jardów. Celownik świeci wyraźnie na tle ciemnej chmury. Podnoszę środek ognistej pierścienia nieco ponad garb kabiny i naciskam spust.

"Focke Wulff" drgnął, przechylił się na prawe skrzydło, ozłocił w słońcu czarny krzyż na burcie i — jakby zamarł w bezruchu. Tylko odległość między nim a pozostałymi dwoma zaczęła szybko wzrastać. Ale dymu i ognia — ani śladu, a to właśnie chciałbym przywieźć na zdjęcia mojej kamery foto, bo tylko wówczas zaliczą mi zwycięstwo jako pewne.

Więc — znów się składam. Odległość bardzo mała: celownik pełen krzyża . . . Naciskam spust.

Bysnęło, buchnęło, zawirowało! W ciągu dwóch sekund widziałem go wszędzie: nade mną, w dole, na prawo i na lewo. Nie wiem, jakim cudem nie zderzyłem się z żadnym jego strzępem . . .

JESTEM NA CELU

Ochłonąłem z wrażenia stanowiącego za półno: dwa pozostałe "Focke Wulffy" były już o dobre sześćset stóp wyżej ode mnie, i z prawego skretu pluły do mnie ogniem.

— Wiać! — przyszła błyskawiczna decyzja.

Robię gwałtowny skręt w prawo w górę. Szybkość ogromna. Czuję, jak wgniata mnie wabinę, a niebo i ziemia zlewają się w szarą masę.

Przyciskam brodę do krtani i po

chwili zamroczenie mija: odzyskuje wzrok. Jeszcze chwila, a dam nura w środek tarczy słonecznej. Nie trafia; nie dojrzą mnie na tle słońca. Jeszcze trzy sekundy, jeszcze jedna . . .

Wtem maszyna drgnęła raz i drugi. Myśl, jak błyskawica:

— Otworzę się podwozie! . . .

Sprawdzam uchwyty, spoglądam na wskaźniki — w porządku.

— Więc co? Trafiłi?!

Czekam: może wybuchnie ogień? Mimowoli wciągam głowę między ramiona, kurczę się cały, żeby mnie zakryła płyta pancerna. Jakże to jest uczucie, kiedy pocisk przebija ciało? . . .

I nagle — potop blasku: słońce wpada do kabiny i kłuje w oczy. Nie widzę nic; ani instrumentów i zegarów na tablicy przed sobą, ani horyzontu; lecę w środek słońca. Teraz nie trafia: są tak samo oślepieni jak ja.

Oglądam się w tył. Dzieli mnie od nich już zupełnie bezpieczna odległość. Po chwili zupełnie tracę ich z oczu. No — udało się korzarstwo: takich zdjęć nie ma nikt w dywizjonie. Teraz tylko na zachód — do bazy.

WRACAM

Skrećam w prawo spod ulewy promieni słonecznych i gdy blask ślizga mi się po skrzydłach, dostrzegam nagle dwie potężne dziury w lewym płacie: jedna tuż przy lotce, druga — po środku. To od niemieckich pocisków . . .

Strach łapie mnie za żebra:

— O-rany! A jak się urwie? . . .

Mam wprawdzie spadochron, ale nie chcę skakać, bo mi szkoda zdjęć. A skok w chwili urwania się skrzydła to wielkie ryzyko. Lecę więc dalej z duszą na ramieniu, ręką na klamrze pasów, a wzrokiem na tych dziurach w płacie. Robi mi się gorąco. /Dobrze, że nie mam tych pończoch, psiakrew/. A lot dłuży się i dłuży . . .

Myśli wracają, budzą się, ogarniają mnie znów w swoje posiadanie: Klos będzie miał roboty na całą dobę z tym skrzydłem; ciekawo, czy Jean czeka na lotnisku, czy też naprawdę pojechała z Jurkiem na wino do tych farmerów w G.? I — te listy . . . Już od tygodnia zabieram się do ich napisania . . . I — znowu — taka dziura . . . Jakim sposobem ten "Spitfire" jeszcze się trzyma w powietrzu? . . .

Palić mi się chce, i pić także. Kiedyż będzie lotnisko? . . .

No — dolecałem wreszcie. Klos pędzi na spotkanie maszyny. Gęba mu się śmieje. Macha lekceważąco ręką na te dziury; wymieni się płat i będzie O.K.! A obok namiotu stoi Jean. Naprawdę — Jean! A ja zestrzeliłem przecież "Focke Wulffa"! . . .

Podkolowuję na swoje miejsce i wylazę z maszyny. Zapalam papierosa. Jean kiwa do mnie ręką.

— Chodź prędko! — woła. —

Przyjechała kantyna i mają piwo. Nie ma co gadać: w życiu, nawet na wojnie, bywają przyjemne chwile.

PORUCZNIK HERBERT



Polacy we Włoszech

Dom pod kościółkiem Maria Fiordinano



Dwie wojny, wczorajsza i dzisiejsza: koń i czołg

Kwatera Prasowa II Korpusu.
Włochy, w grudniu.

KWATERA NA STOKU WZGÓRZA

O godzinie 9-ej wieczorem oddział kpt. R., wchodzący w skład jednej z brygad Dywizji Karpackiej, opanował Monte Velbe, szczyt położony na południe od Predappio. Po straszliwie męczącym marszu w ulewnej deszczu i błocie, po dramatycznej przeprawie przez spienioną, rwącą z gór, wezbraną rzekę Bidente, która zabrała mu czterech ludzi, kapitan decyduje pozostawić kompanię na noc w budynkach na stoku wzgórza, ubezpieczając się wokół placówkami. Włosi twierdzą, że nieprzyjacieli siedzi w rejonie kościółka Maria Fiordinano.

Kompania jest zmęczona i przemoknięta do suchej nitki. Żołnierze roztasowują się, w kilku budynkach gdzie kto może. Włosi są szalenie gościnni, uprzejmi i nadskakujący. Na stołach pojawiają się smażone kury i czerwone wino. W kominkach buzuje ogień, kładąc na zimne ściany ciepło, migotliwe refleksy. O szyby uderza deszcz garściami dzwoniących kropel i szeleści monotonnie w nocnej ciemności.

Przychodzi świeże wspomnienie szumiącej wściekle górskiej rzeki, rozpaczliwa walka z piekielnym nurtem i twarzę, znajome, bliskie, serdeczne twarze kolegów, którzy nie dali rady stanąć na tym brzegu... Nie mówią między sobą o tym teraz, gdy wino powoli zaczyna rozgrzewać a w kominku trzaska wesoły ogień. To jeszcze jest zbyt bliskie, zbyt świeże, zbyt wyraźne. Chociaż przywykli do tyłu śmierci, do tego, że ciągle ktoś odchodził, kogoś brakowało, ktoś nie wracał — chwilami trudno uwierzyć, że tamtych już nie ma, po prostu nie ma, że zabrała ich rzeka...

Porucznik Cz. był wyraźnie przygnębiony. Rzucił całą swoją młodą energię, przedsiębiorczość, rzutkość i szybkość decyzji w akcję ratowniczą nad brzegami rzeki. Był wszędzie, dwoił się. Dzięki niemu w głównej mierze uratowano sprzęt i wielu ludzi. Ale tamtych czterech... Porucznik odczuwa to najdotkliwiej.

W pokoju jest ciepło. Tylko za oknami szumi górska ulewa. Wszyscy już myślą o jutrze. I wiedzą na pewno, że to jutro przyniesie walkę!

ZAJĘCIE DOMU PRZY KOŚCIELE

Rano idą dwa patrole na rozpoznanie. Pierwszy na zamek Rocca delle Caminate, drugi na kościółek Maria Fiordinano. O godzinie 8-ej oba patrole ruszają.

Patrol drugi w składzie czterech ludzi z rkm-em przechodzi przez głęboki jar i opanowuje dom w odległości 200 m. od kościółka, stojącego na wzgórzu. Z boku zaczyna grać pojedynczy Spandau. Dla lepszej obserwacji patrol niezaawazanie przesuwa się jeszcze 100 m. do przodu, nieco w bok od domu. W rejonie kościółka pada alarmo- wy strzał nieprzyjaciela. Musieli zauważyć jakiś ruch koło zabudowań. Kapitan R. bierze wtedy jedną drużynę z rkm-em i szybko przesuwa się w rejon budynku. Niemcy otwierają gwałtowny o-

gień z moździerzy i Spandau'ów. Strat jednak nie ma.

Kapitan z trzema strzelcami wchodzi do budynku. Strzelec Kurzydło staje przy oknie z Tommygunem. Kapitan siada przy stole i rozpoczyna pisać meldunek do dowódcy batalionu o nawiązaniu styczności z nieprzyjacielem. Po chwili Kurzydło melduje przeciwnatarcie niemieckie w sile około 10 ludzi. Kapitan podbiega do okna.

PRZECIWNATARCIE

Niemcy wyskoczyli zza kościółka i szły wprost na budynek. Na prawo od domu stały stogi siana. Siedział z nimi kapral G. z dwoma strzelcami. Kapral czeka, kiedy Niemcy zrównają się ze stogami. Poprawił się tylko i przyciągnął mocniej Tommygun. Wystarczyło jednak to krótkie poruszenie. Wytrócił go Spandau z prawej. Pocisk przebił mu ramię, krew zaczęła ściekać po dłoni, zacisniętej na kolbie pistoletu automatycznego.

Poznałem Janusza w Neapolu. Szczerze mówiąc w knajpie. Przy stoliku opodał mojego, siedział drobny chłopiec z dwiema francuskimi belkami na ramieniu i w towarzystwie pani z jedną belką. Obaj byliśmy raczej zawiśni, a wiadomo, że w takich razach wszelkie znajomości następują szybciej i łatwiej, niż kiedykolwiek.

Kiedy podaliśmy sobie ręce, dostrzegłem na piersiach Janusza, polską "gapę" lotniczą, obok złocił się francuski znaczek lotniczy. Ponadto Janusz doskonale mówił po polsku i miał przyjazne, bure oczy. Ocenilem go na mniej więcej ćwierć wieku. Spieszył się na lotnisko. Powiedział, że na pewno jeszcze się w życiu spotkamy, wtedy pomówimy o wszystkich obszarach.

—Pani ze złotym paskiem — powiedział Janusz na odchodnym — jest moim bombardierem...

Bombardierem — pomyślałem — to znaczy starszym strzelcem w artylerii?... Dziwne lotnictwo koedukacyjne, współpracujące z bombardierami.

A potem, dla nas było Monte Cassino i zupełnie zapomniałem o znajomym z neapolitańskiej knajpy. Tyłu ludzi przewinęło się przez ten czas, tyle było zdarzeń i trudnych dni.

Aż nagle, Janusz się przypomniał Sam. Wyskoczył po prostu na rzymskiej ulicy z jakiegoś przedziwnego samochodu wysięgowego i wpadł na mnie, jak bomba. W samochodzie stojącym niemal na środku ulicy, siedziała znowu pani. Tyle tylko, że inna.

Janusz wracał z lotów na Florencję. Zrobiło mi się bardzo ciepło na sercu. Cholerny świat, taki duży i taki mały jednocześnie. Spotkaliśmy się znowu. Znowu poszliśmy na wodę.

We wrześniu trzydziestego dziewiątego roku Janusz latał jako myśliwiec rozpoznawczy... na zwykłej "Pezetelce". Dziś to wydaje się śmieszne i niepoważne. Na "Pezetelce" latał w czasie wojny. W obronie Warszawy Janusza zestrzelili. Ale wyreperował grata i latał jeszcze kilka dni. Potem

Nagle jeden z Niemców podbiega od tyłu do stogu i strzela z bliska z kb do wysuniętego najbliższ strz. Bajera. Kapral G. już nie czeka. Pakuje w brzuch Niemca cały magazynek...

Tymczasem grupa Niemców ze Spandauem podchodzi już do budynku. Kurzydło wali do nich całą serią z Tomphsona. Dwóch Niemców pada na ziemię, Spandau wylatuje z rąk celowniczego. Żołnierz niemiecki podbiega do rkmu. Ale kapitan ma go już na muszce swego pistoletu. Niemiec nie zdążył dobiec...

Zza kościółka wybiega Niemcom pomoc. Pięciu żołnierzy z oficerem na czele. Kapitan nie ma już amunicji w pistolecie. Wrywa z rąk Kurzydła Tomphsona i strzela w nadbiegającą grupę. Pada oficer niemiecki i dwóch biegnących obok niego żołnierzy. Reszta Niemców podbiega do budynku i chowa się za węgiem. Z rejonu kościółka Niemcy otwierają silny ogień ze Spandauów w okna domu.

Kapitan ukryty w domu z trzema ludźmi ma do obrony zaledwie dwa magazynki do Tommyguna, jeden magazynek do rkm i trzy granaty.

Kapral G. z drugim strzelcem, ukryci dotąd za stogami, wyskakuje nagle i biegną do drzwi. Kapral jeszcze zdążył dobiec i wskoczył do środka. Strzelec Kursiewicz nie zdążył. Upadł przed samym niemal progiem. Dosięgnął go Spandau...

ATAK GRANATAMI

W pewnej chwili kapitan wychyla się błyskawicznie przez drzwi. Niemcy stoją za węgiem domu. Lufy Schmeiserów pilnują wyjścia. Z przodu wała w okna serie Spandauów z kościółka. Wyjście jest jedno — przez te właśnie drzwi... Kapitan postanawia odrzucić

Niemców spod domu. Strzelać do nich nie ma jak. Trzeba by było wysunąć się z domu, zmierzyć się... To trwało by tylko sekundy. Ale w tym wypadku nawet sekundy są już za długie...

Pozostały jeszcze granaty. Kapitan decyduje się. Potrzeba jednej sekundy, by wysunąć lewą rękę przez drzwi i rzucić granat. Trzy sekundy trzeba go przetrzymać w ręku. W czwartej granat wybuchu...

Kapitan rzuca pierwszy granat. Rozrywa się dokładnie na samym rogu budynku. Skutek wspaniały. Niemcy nikną za węgiem. Po 20 minutach kapitan rzuca drugi granat. Trzeci, a zarazem ostatni pozostawia na decydującą chwilę.

—"Chalupa się pali!" — woła nagle Kurzydło.

Niemcy podpaliли przylegającą do budynku szopę z sianem, od niej zajęły się ściany. Ogień potęguje się, bucha dym. Ma to tylko jedną dobrą stronę: zasłania obserwację z kościółka. Ale ci obok domu czekają, aż Polacy będą zmuszeni opuścić palący się budynek. Wtedy...

KURZYDŁO IDZIE PO ODSIECZ

—"Panie kapitanie — mówi Kurzydło — wyskoczę oknem i przyprowadzę chłopaków. Mur, że przyprowadzę. A tak to nas tu upieką żywcem" — dodaje przekonująco.

Kapitan nie zgadza się. Okien pilnują Spandauy. Pewna śmierć. Ale strzelec Kurzydło, doskonały, zdyscyplinowany żołnierz, po raz pierwszy w życiu nie usłuchał rozkazu przełożonego. Wystarczyła tylko chwila, by kapitan się odwrócił i już go nie było. Skoczył oknem w kłębiący się dym. Czy tylko zdążył przebiec otwartą przestrzeń... Może leży już gdzieś pod domem jak Bajer lub Kursiewicz...

Janusz lata u Francuzów

wojna się skończyła. Janusz powędrował w myśl rozkazu, przez zaleszczycki most do Rumunii, za druty. Pomyślał, że oto wojna na razie się skończyła. Trzeba coś zrobić z sobą. Trzeba znaleźć drogę do nowego grata.

Frunął z obozu, poszedł przez granice i szpary między spojrzniacami policyjnych oczu i różnych łapaczy. Wylądował w Syrii. Wtedy w Homsie nie było jeszcze Karpackiej Brygady. Francuzi przegaminowali Polaka i dali mu natychmiast samolot. Janusz zaczął latać u Francuzów.

Z językiem miał trochę kłopotu. Mówił jak umiał, swoją szkolną francuzczyzną, i starał się jak najszybciej opanować język gruntowniej.

Francuziki początkowo patrzyli nieufnie na drobnego chłopca, na jego loty. Pilot to na pewno on jest, ale nie wiadomo jak pójdzie z maszyną bojową. Na razie są stare gruchoty, na których zdaniem starych pilotów, każde dziecko potrafi latać. Z gruchota Janusz przeszedł na maszynę bojową. W skrytości ducha napocił się porządnie przy pierwszym locie, który poprzedziło zaledwie kilka lekcji zapoznawczych.

I tak Francuzi przekonali się do polskiego lotnika o smutnych oczach. Janusz nie miał za wielu przyjaciół. Francuska brać lotnicza w Syrii, była beztroska i pełna wiary w zwycięstwo. Janusz wiarę tę miał, ale nie miał radości życia kolegów. Oni mieli rodziny w niezbombardowanych miastach. We Francji nie było jeszcze Niemców. We Francji naród wierzył w szybką klęskę Niemiec. Janusz pamiętał klęskę własną. Walczył przecież nad Warszawą. Pamiętał płonącą stolicę i ostatnie polskie zestrzelwane przez Niemców i czasem przez swoich samoloty polskie.

Przyszła wiosna czterdziestego roku. Niemcy uderzyli na Francję. Lotnicy po messach sryjskich przestali się uśmiechać. Znikła zampańska beztroska. Janusz tylko był spokojny, bo wiedział, że tak musi być. Z Niemcami nie jest łatwo.

Zaczęły się pierwsze poważne rozmowy. Francuscy chłopcy pytali Polaka: — "Powiedz Janusz... ty już ich widziałeś z bliska... naprawdę są tacy silni?...". Janusz uśmiechał się tajemniczo: — "Trzeba mieć do walki z nimi potężną ilość wszystkich rodzajów broni. Myśmy walczyli z nimi raczej krótko. Cóż... nie starczyło u nas na dłuższą broń. Poza tym uderzono nas w plecy... To wam przynajmniej nie grozi...". Francuzi myśleli z pomarszczonymi czołami i pilnie słuchali radia.

Francja upadła. Poszło to szybciej, niż Janusz myślał. Lotnictwo w Syrii rozleciało się po całym świecie. Janusz znalazł się w Algierze. Tutaj już urzędowali Vichy'ści. Polak każdemu z nich był szkłem w oku. Kilka razy go aresztowali. Ale był niepozorny, porządnie mówił po francusku, nałgał, że mieszka tutaj od lat i trudni się reparacją motorów samochodowych. W ten sposób został nadwornym, można powiedzieć, mechanikiem jakiegoś dygnitarza spod znaku Vichy.

Kiedy Aliańcy przyszedli do Algieru, Janusz natychmiast zgłosił się do lotnictwa. Do francuskiego, bo nie bardzo wiedział, czy i kiedy potrafi dotrzeć do własnego. Wkrótce potem wysłali go do Włoch. Dostał drugą gwiazdkę, to znaczy drugi złoty pasek. Po francusku. W czasie akcji Francuskiego Korpusu we Włoszech, Janusz cały czas latał nad niemieckimi pozycjami. Niedawno został dowódcą eskadry. To byłoby tyle.

Czytałem generala kilku dniami w rozkazie generała Juin, o Januszu, polskim lotniku, który dostał jakiś krzyż za dobrą robotę. Janusz lata u Francuzów i myśli o powrocie do własnych skrzydeł. Teraz poleciał do Francji.

Wypiliśmy przedtem dużo wina. Przed odlotem życzyłem mu, aby połamał ręce i nogi. Tak jak się u nich zwykło życzyć przyjaciółom.

JERZY BAZAREWSKI

Dom pali się coraz silniej. Czterej ludzie ukryci wewnątrz mają tylko trzy wyjścia: spalić się żywcem, wybiec z domu i przelecieć 120 m. otwartej przestrzeni pod ogniem niemieckich Spandauów i Schmeiserów, co śmiało można nazwać samobójstwem, albo też — poddać się... Ale kapitan i jego trzej żołnierze nie znają, nie rozumieją tego terminu. Żaden z nich nie pomyślał nawet o tym trzecim najprostszym i najłatwiejszym wyjściu. Żołnierz polski nie poddaje się. Nawet w takiej sytuacji.

RYZYKOWNY PLAN ODWROTU

Zresztą tu nie ma wyboru. Trzeba wyskoczyć z budynku — mimo wszystko. 120 m. do jaru! Tylko 120 metrów!... Żaden z tych czterech ludzi nie miał w życiu dłuższej drogi przed sobą. Szansa była minimalna. 1 na 1000. Szaleństwo. Hazard. Jednak zdecydowali się. Kapitan wziął do ręki trzeci, ostatni granat...

Plan był prosty: rzucić granat za węgiel domu i w chwili wybuchu wyskoczyć... Wyskoczyć pod ogień Spandauów bijących z kościółka, pod ogień Spandau'a z prawej, pod ogień Schmeiserów, pilnujących wyjścia...

Ale jest już najwyższy czas. Dom płonie, robi się niesamowicie gorąco, płucem brak powietrza. Wszyscy są już gotowi. Kapitan rzuca okiem w otwarte drzwi, przesuwa po raz ostatni spojrzenie do jaru i z powrotem, i odbezpiecza granat...

Czasami ułamek sekundy decyduje o pomyłce. Krótki, szybki jak piorun zamach dłoni... Granat wylatuje ukośnie, uderza o framugę okna, odbija się i upada przed samymi drzwiami... To są ułamki sekund! Błyskawicznie odskakują za mur. Błysk, huk, impet powietrza, trzask i gwizd odłamków a potem nagły, desperacki skok na zewnątrz. Dym uderza w oczy, rozwiewa się... do jaru jeszcze 80 metrów! Wszystkie nerwy, każde ich włókno, cała świadomość i odczucie koncentruje się w plecach. Zaraz pewnie trafią...

UDANY ODWRÓT I SPOTKANIE Z ODSIECZĄ

Ale Niemcy są zaskoczeni tym szybkim odwrótem. Dopiero w polowie drogi sypią się bezładne, nerwowe, kierowane na oślep strzały. Jar jest już blisko, coraz bliżej, jeszcze kilkanaście metrów... Nagle strzelec K. potyka się i upuszcza z ręki rkm. Dostał. Na szczęście jest tylko ranny w ramię. Zdołał wraz z innymi dobiec i zapasać w jar. Udało się!

Wycofując się w rejon pozycji kompanii, spotykają po drodze Kurzydło, idącego na czele odsieczy z dwoma erkaemami. Chłopak miał też szczęście. Raz, że doszedł, dwa — że nawet nie dostał "opr"...

CHORĄGIEW NAD ZAMKIEM

Pierwszy patrol powrócił z wiadomościami, że nieprzyjacieli broni silnie zamku Rocca delle Caminate. Patrol drugi pozostał aż do wieczora pod kościółkiem Fiordinano, szczęśliwie niezauważony przez Niemców. Twarze posmarowali błotem i przetrzymali na swych stanowiskach aż do zapadnięcia mroku. Widzieli, jak Niemcy zbierali potem swoich zabitych i rannych i słyszeli, jak kleli przez długi czas. W kościółku był cały pluton. Dwudziestu ośmiu ludzi. Pod domem padło ich dziesięciu. W nocny patrol cichaczem wycofał się i dołączył do kompanii.

Odwet za spalony dom pod kościółkiem Fiordinano wzięła jeszcze tego samego dnia nasza artyleria. A dwa dni później, 30 października rano, jeden z plutonów wchodzi na wzgórze i zajmuje kościółek.

A niedługo potem, o godzinie 8-ej rano kompania zdobywa zamek Rocca delle Caminate. Z okien wieszono białe płachty...

Nad zamkiem powiewa biało-czerwona chorągiew. Wysoko, w chmurach. Targa nią górski wiatr.

JANUSZ WEDOW

Belgia, styczeń 1945.

Korzystając z wyjątkowo spokojnego postoju "Lwowskiej Fali", siadam, by spisać wrażenia z kilku ostatnich tygodni i w myśl obietnicy przekazać je Wam przez "Polskę Walczącą".

NA GRUZACH "WAŁU ATLANTYCKIEGO"

Zaczęło się od tego, że w naszej kwaterze zjawiał się kapelan brytyjski jako delegat "commandosów", którzy niedawno wrócili z walk na Walcheren. Kapelan prosił, by na gwałt zrobić im jakiś koncert, gdyż brytyjski zespół E.N.S.A. nie zdążył na czas dojechać do tych zastawionych i wstawionych żołnierzy. Oczywiście tadujemy się z miejsca do kilku "jeepów", przeczonymi przyprowadzonymi przez kapelana i jedziemy, a raczej pędzimy, aż "kataryna" hausmanowska zaczyna trzeszczeć.

Po kilku kilometrach szaleńczej jazdy kapelan kazał nieco zwolnić i zwraca nam uwagę na jakieś olbrzymie zwaliska i resztki toru kolejowego z ruchomą artylerią po lewej stronie szosy. To pozostałości reklamowanego "Walu Atlantyckiego", który dzisiaj zieje zniszczeniem i pustką. Cała nasza dalsza droga prowadzi wzdłuż tych gruzów twierdzy hitlerowskiej. "Jeep" podskakuje na wąskich szynach "artyleryjnych", pędzi przez jakieś prowizoryczne mostki i wpada w końcu do małej, ale gwarnej wioski. Ktoś wymienia nazwę miejscowości. Aha, więc to tutaj kiedyś dawno przed wojną jeździło się z Polski, gdy Ostenda była za droga.

Mała wioska ma wcale przyzwyczajoną salę teatralną, gdzie za kulisami i na scenie odnajdujemy świeże jeszcze ślady bytności niemieckich "czółowek teatralnych". Wpisujemy się na ścianie garderoby w piwnicy pod szumnym napisem niemieckich poprzedników. Brytyjska widownia commandosowska jest spragniona rozrywki. Żołnierze wrócili przed dwoma dniami z ciężkiej bitwy, więc śmieją się głośno, bawią się jak dzieci, hucznie, z werwą śpiewając razem z nami ulubione piosenki. A po tym do naszej książki pamiątkowej wpisują szczerze: "Dziwnie się złożyło, że właśnie Polacy pierwszy zaspokoiли naszą tęsknotę za domem/home-sickness/, przynosząc nam tutaj ulubione nasze piosenki z Anglii i Szkocji".

Energiczny kapelan zabiera nas potem na "cup of tea" do kwatery oficerów brytyjskich, która mieści się w małym, ale pięknie położonym domku belgijskim. Tam nie po raz pierwszy oglądamy znane dowody niemieckiej kultury towarzyskiej: ślady kul w starych cennych obrazach, kule w antycznym zegarze i ślady strzelaniny na ścianach.

"THANK YOU ..."

Na drugi dzień jesteśmy już na szosie prowadzącej do Holandii. Wyjeżdżamy z Belgii dość późno, więc noc zastaje nas na trudnym szlaku, przez który tak niedawno przeszła wojna. Droga jest skomplikowana, liczne objazdy, mosty pontonowe na kanałach, ślady dużych lejów na szosach, tu i ówdzie po rowach rozwalone czolgi niemieckie. Wzdłuż drogi często białe taśmy oznaczające nieoczyszczone jeszcze pola minowe.

Wszędzie jednak widoczną jest troskliwa ręka dokładnej organizacji brytyjskiej. Na każdym prawie drzewie szyfowany znak orientacyjny. Co więcej, oprócz znaków i nazw orientacyjnych na drzewach wywieszono tabliczki z wierszami angielskimi o treści dydaktycznej n.p. "Jeżeli chcesz wypić swój cup of tea, to grzecznie stań sobie na boku, nie rób zatoru na szosie, albo zjedź sobie na pole, które jest oczyszczone z min". A po każdej przestrodzie czy uwadze, na następnym drzewku olbrzymia tablica mówi: "Thank you".

Zwierzał mi się pewien kierowca angielski, że to "Thank you" najwięcej go kępuje, bo jeżeli nie zwolni tempa, jak proszą tablice, lub wymynie tam, gdzie wozów wymijać nie wolno, to takie "dziękczynne" drzewko zawstydzają go więcej, niż najsurowsza nagana. Jedno słówko wymalowane na drzewie — a cudów dokazuje! Porządek panuje niemal wzorowo.

Mimo bardzo dobrych znaków orientacyjnych blądziły jednak po nocy, gdyż wiele mostów poniszczono, a spośród odbudowanych część zamykają na noc dla dokonania koniecznych napraw. Gdy w pewnym momencie kończą się znaki orientacyjne, jazda przez

pustkowie w czarną noc, rozświetlaną jedynie błyskami artylerii bijącej do latających bomb — zaczyna budzić różne refleksje. Ktoś w aucie rzuca pytanie, jak brzmi po niemiecku "Lwowska Fala" i jak się mówi: "zabłądził". Żart — jak się nazajutrz okazało — nie odbiegał tej nocy daleko od rzeczywistości.

Po dwunastu godzinach jazdy ujrzelśmy nareszcie tabliczkę: "Slow" i "Thank you" i wpadliśmy w objęcia policjanta holenderskiego. Byliśmy na miejscu.

"ORANIE"

Mały hotel holenderski na pół zniszczony wojną, okradziony przez Niemców, był zaskoczony wizytą tak dużej ilości osób o tak późnej porze. Ale ponieważ rzadziła w nim już od kilku dni brytyjska E.N.S.A. więc znalazły się na poczekaniu koca, z których zrobiliśmy prześcieradła, poduszki i kołdry, gdyż cała bieliza hotelowa powędrowała razem z Niemcami na tamtą stronę Mozy. Nad ranem ułożyliśmy się do snu, budził nas jednak niestający huk transportów wojskowych, zdążających z frontu i na front.

Auta ciężarowe, pełne ludności cywilnej, ewakuowanej ze strefy przyfrontowej, poruszały w nas dawno postrzębione wspomnienia z lat 1939 i 1940. Hotel nasz stał pośrodku rynku, na którym urządzono coś w rodzaju parku samochodowego. Holendrzy bez uśmiechu krążyli, ciekawie oglądając wozy. Żołnierze bawili się z dziećmi o ziemistej cerze.

Na dole w kawiarni hotelowej podawano dwa rodzaje napojów: zupkę i cienkie piwo. Skwapliwość z jaką korzystano z poczekanki angielskim papierosem, pożądlivosc, z jaką spoglądano na biały chleb żołnierski, powiedziały nam więcej, niż najszczerze rozmowy. Holandia niewątpliwie więcej uciierała, niż Belgia i Francja. Tłumaczył mi pewien kupiec holenderski: — "Holandia nie znalazła dobrze Niemców i nie schowała na czas wszystkiego jak Belgia. Lecz Belgia miała doświadczenie z tamtej wojny. My zaś w tamtej wojnie byliśmy neutralni i teraz za to płacimy ..."

Cena jest rzeczywiście bardzo wysoka. Bieda rzucają się w oczy z witryn pustych sklepów, z oczu głodnych dzieci, ze smutnych twarzy dorosłych. Za nią idą w hucznej parze pod rękę — jak zawsze za każdą biedą wojenną — spekulacja finansowa i "czarny rynek".

Przez główną ulicę miasta, zwartą kolumną, idzie grupa cywiliów z karabinami. Na rękawach pomarańczowe opaski z napisem: "Oranie". To Holandia podziemna, która dziś już jawnie współpracuje

z wojskami sprzymierzonymi, tworząc kadry nowej armii holenderskiej. Blade twarze przechodniów ożywiają się, dzieci wyżej podnoszą głowy: Oranie! Duma i nadzieja kraju, któremu grozi barbarzyński zalew najniższych okolic i zniszczenie pracy całych pokoleń.

"POOLSCHESOLDATEN"

"Poolsche soldaten" — żołnierze I. Dywizji Pancerniej stali się oczkiem w głowie miasta B. I nie tylko B. Gdziekolwiek stanęliśmy w Holandii czy Belgii wszędzie odnajdywaliśmy ślady najlepszej pamięci, jaką pozostawiał po sobie żołnierz polski.

O samym mieście B., jego nastrojach i stosunkach polsko-holenderskich pisać szczegółowo nie będę, gdyż temat ten wspaniale opracowali i do "spodu" wykorzystali obydwaj zaci korespondenci wojenni Maciej i Ryszard, a konkurencji im robić nie chcę, gdyż zapłaciłbym za to na pewno wysoką cenę — i to w koniaku — przy najbliższym spotkaniu. Więc ograniczę się tylko do obserwacji zasadniczej: Szkocja ma poważną konkurentkę, Holandia zawojowała żołnierza polskiego, który ją oswobodził. Łażą "Poolsche soldaten" z dziećmi, zasypują je czekoladami i papierosami "pour papa", kochają się w pamiach i w wzdzięk "oswobodzicielskim" biorą je w niewolę miłosną.

Rekord językowy pobił pewien zany sierżant ze Lwowa. Wyczul się on po holendersku przemówienia i jako św. Mikołaj wystąpił z oracją do 400 dzieci holenderskich, które jego kompania w tym dniu podejmowała. W ogóle te wieczory nikolajowe, zorganizowane przez oddziały polskie, pozostały niezatarte wrażenia. Największą sensacją były oczywiście ... paczki żywnościowe. Pożyczył św. Mikołaj ze Lwowa, zany sierżant Miśko, przyznał się nam po cichu, że ma "na kotle" codziennie dziesiątki dzieciaków holenderskich: — "Przysięgam Bogu, jak te gnoły przyjdą i si gapią, to mnie si samemu nie chce wciągnąć. Wolam "ciamkaczy" niech sobie też podrygają ..."

W mieście B. i okolicy dajemy szereg przedstawień. Pewnego dnia jedziemy w bezpośrednie pobliże frontu. Po drodze spotykamy sanitarkę z rannymi żołnierzami polskimi. Ostrzelano ich godzinę temu artylerią z tamtego brzegu Mozy. Pożyczymy im benzyny, dajemy papierosy i dalej w drogę, bo zdrowi czekają na przedstawienie.

Z elektryką dość kruczo na kontynencie, a w Holandii zawodzi ona najczęściej, więc tego wieczoru zaczynamy przedstawienie w nastroju szekspirskim i gramy przy pięciu świeczkach rewie:

Bez blackoutu

"Frontem do frontu" dla dzielnych żołnierzy naszych pułków pancernych.

Sensacją tego tygodnia staje się niedzielny występ kilku członków "Lwowskiej Fali" w bunkrach nad Mozą, gdzie echo piosenek szło aż na linię niemieckie. Opisał to w "Polsce Walczącej" sam "sprawca" wypadu korespondent wojenny Feldhuzen, więc dodam tylko od siebie, że tupy "zdobyte" na froncie przeszły do muzeum "Lwowskiej Fali": hełm niemiecki, znalezione w błocie przez Makutę, szwabskie kompoty, odkryte przez Szczepka i Tońka oraz spodnie Henia Hausmana rozdarte na drutach kolezastych.

"POD ZNAKIEM 'V'"

Nasz jednopiętrowy, lichy domek, w którym E.N.S.A. wyznaczyła kwatery stał przy głównym szlaku wodzącym do A. I tak się właśnie złożyło, że ten trakt obrwały sobie przez kilka długich dni wszystkie latające bomby. Szyły na niskim pułapie, domek drżał w posadach a szyby grały symfonią V.

W mieście jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zaczęło działać inne "V" — piąta kolumna niemiecka. Zaczęły się znane jeszcze z Polski opowiadania z dokładną datą powrotu Niemców, z groźbami obłożenia miasteczka bombami i artylerią. Obserwowałem, jak dziwnie dokładnie praca V-ej kolumny zgadzała się w czasie z kontrofensywą niemiecką i ze zrzuceniem spadochroniarzy niemieckich w niektórych okolicach Belgii i Holandii.

Nasza mała kwatera E.N.S.Y. przeżyła nawet pewnego dnia sensację wojenną: alarm przeciwspadochronowy, który trwał całą noc. Pogotowie składało się z sierżanta brytyjskiego, który zameldował się ze "Stenem" naszych dwóch pomocników z niemieckimi "Schmeisserami", "zdobycznymi" i dwóch kierowników angielskich. Z ciekawości dziennikarskiej zostałem z nimi całą noc na posterunku jako ... korespondent wojenny". Pogotowie zaczęło się po angielsku od gotowania "cup of tea", po czym dwaj "driverzy" angielscy położyli się spać. Sierżant brytyjski wyznaczył sobie i naszym pomocnikom technicznym wartę, po czym zaczął z nimi dyskusję polityczną, na której wstępnie stwierdził, że jest radykalnym komunistą. Wywołało to burzę w "kolach polskich", których imieniem przemówił przy użyciu wymownych gestów nasz Marian. Bronisław zaś mitygował go z roztropnością obytego Warszawiaka: — "Marian, ja ci mówię, nie leź w politykę, bo zapomnisz o spadochroniarzach". Sierżant brytyjski żądał komunizmu angielskiego w Anglii, dodając, że na komunizm rosyjski

w Anglii czy w Polsce nigdy się nie zgodzi. Gdy dyskusja stała się zbyt gwałtowna i Marian przesyłał do nieparlamentarnych wyrażen, zaproponowałem drugi "cup of tea", przy którym ustaliliśmy z radykałem sfery wpływów i wpływow, po czym całe towarzystwo w zgodnym milczeniu wstukiwało się aż do rana w ogłoty polskiej artylerii bijącej nad Mozą i odległe wybuchy latających bomb.

"WIGILIA 1944"

Nad ranem, po odwołaniu alarmu przeciwspadochronowego, "Fala" w myśl rozkazu dowództwa E.N.S.Y. ruszyła z Holandii w porywną drogę do Belgii z pierwszemu postojem w małym miasteczku pod Antwepią. Tam spędziliśmy wieczór wigilijny.

Dziwna to była wigilia. Z tobolek wydobyto biały, słodką "babkę", upieczoną przez Miśka-Mikolaja specjalnie dla Lwowiaków. Znalazła się i polska kiełbasa "made in Holland". Podoficerowie brytyjscy, przydzieleni do hotelu E.N.S.A. z przemiłym sierzantem-szefem na czele wydostali z magazynów co mieli najlepszego, by umilić Polakom ten tradycyjny wieczór. Jeden przyniósł skrzynkę piwa, drugi pudelko belgijskiego cygar, które należą tu do rzadkości, trzeci zatknął na choince polską chorągiewkę. Sierzant-szef prosił, żeby się czuć jak w domu, co było o tyle trudne, że wigilia odbywała się w małej restauracyjce tuż przy barze hotelowym.

Zamiast pierwszej gwiazdy, znak do rozpoczęcia wigilii dała latająca bomba, która padła dość blisko. Ale przyjęliśmy już dawno "fason frontowy" niezuraczania uwagi w rozmowach na zbyt bliskie wybuchy. Życzeń przy oplatku nie było właściwie żadnych. Ktoś puścił gorzki dowcip: "Next Christmas in England".

Pod koniec wigilii poprosiliśmy do stołu naszych brytyjskich przyjaciół, z którymi spędziliśmy kilka mitych godzin. Oczywiście nie obešlo się bez przemówień na cześć Polski i Polaków. Po czym nasz "driver" Joe, sentymentalny tysi Szkoty /który ma "na rozkładzie" w tej turze: 2 buki telefoniczne, 4 ploty kolejowe, -ścianę francuskiego baru z lustrami i kontuarem/ wygłosił płomienne antyangielskie i antyirlandzkie przemówienie, przeplatane cytatami z Biblii i piosenkami Burnsa. Ten sam Joe, który z języków obcych ma opanowaną jedynie gwiarę glasgowską wdał się później w dyskusję z pewną Angielką z Londynu zarządzającą hotelem, ale nie mogli się porozumieć, więc Angielka wezwwała naszej pomocy wołając: — "Ratujcie mnie i przetłumaczcie mi na język angielski to wszystko, co on do mnie gada, gdyż ja go zupełnie nie rozumiem". Tak więc Polacy, po raz pierwszy chyba w historii, byli tłumaczami w rozmowie szkocko-angielskiej.

NOC SYLWESTROWA

Już to w tym roku 1944 specjalnego szczęścia do uroczystości "Fala" nie miała. Cały dzień sylwestrowy spędziliśmy w atach E.N.S.Y., jadąc z wysuniętej bazy brytyjsko-holenderskiej w uścicia Skaldy do portu X. w Belgii. Noc zaskoczyła nas w Gandawie, gdzie ograliśmy się trochę i posilili przed wyruszeniem w dalszą drogę.

Była dokładnie za minutę dwunasta w Nocy, gdy wyjeżdżaliśmy do portu w X. Ze wszystkich okrętów strzelały rakietami wiatowe. Ale co to? Równocześnie ryknęły syreny i zaczęła grać artyleria przeciwlotnicza. To już nie wiaty sylwestrowe. Okazało się, że codziennie o tej porze lecą samoloty niemieckie z zaopatrzeniem do odciętych portów, w których bronią się resztki załóg niemieckich.

Widok to był niezapomniany: wiatowe race świetlne z okrętów, czerwone ogniki przeciwlotniczych pocisków ... Ryk syreny alarmowej i wiatowe grania syren okrętowych spłatyły się w dziwną symfonię pożęgnałą roku 1944. Równocześnie zgasły wszystkie światła w domach i na ulicach, gdyż elektrownia automatycznie wyciąża tutaj światło w czasie alarmów. Tak, pamiętam u nas w Polsce na wesolych zabawach sylwestrowych, punktualnie o dwunastej dyskretne gospodarz wyciągał na chwilę światło ... Wtedy kradło się najmilsze pocatunki ...

Przy dwóch świeczkach w ciemnej jadalni hotelowej wypiliśmy w milczeniu lampkę wina na powitanie 1945 roku.

Skrzynka pocztowa

LIST Z WŁOCH

Szanowny Panie Redaktorze! W tej chwili otrzymałem nr. 48 "Polski Walczący" z dnia 2 grudnia 1944 r. z którego dowiedziałem się o pięcioletnim jubileuszu Waszego istnienia.

Aczkolwiek z opóźnieniem — zaszyłam twórcom, Panu Redaktorowi, oraz wszystkim współpracownikom "Polski Walczący" moje z głębi serca pochodzące życzenia.

Dzięki uprzejmości red. Józefa Winiewicza, który nam "Polskę Walczącą" zaobowiązał — pismo to jest naszym wiernym towarzyszem od roku już, informującym nas o wszystkim, co z dala od nas się dzieje. Przy sposobności bardzo uprzejmie Pana proszę o łaskawą pomoc w nabyciu następujących książek: a/ "Radiotechnika" /Tom I./, b/ "Polish Troops in Italy" Mariana Czuchnowskiego, w języku angielskim.

Z prawdziwym poważaniem i żołnierskim pozdrowieniem.

Włochy, w styczniu 1945 r.

Wincenty Basiański
Polish Forces 548, C.M.F.

"NIECH CIE BÓG ZAPROWADZI DO WOLNEJ OJCZYZNY"

Szanowny Panie Redaktorze!

Chcę się podzielić z Panem, a pośrednio i z Czytelnikami, tym, co mi opowiedział kolega. Kolega z Londynu. Zupełnie przypadkowo znalazłem się w tym mieście, zupełnie przypadkowo spotkałem kolegę, a ten — chyba także zupełnie przypadkowo opowiedział mi tę historię. Tu chciałbym przeprosić Czytelników za to, że w okresie świątecznym, karnawałowym, poruszę tak nie miłe sprawy. Przepraszam także za

takie nieumiejętne ujęcie tego krótkiego zresztą opowiadania, no ale mistrzem pióra nie jestem i cieszyłbym się tylko, gdyby ktoś bardziej powołany "rozdumchał" tę sprawę. "Rozdumchał!" — w znaczeniu dodatnim, jeśli można się tak wyrazić.

— "Jak wiesz — mówi kolega — bardzo mało wychodzi obecnie pism dla dzieci i młodzieży w języku polskim"

— "Wiem — przerywam mu — myślisz oczywiście o pismach polskich w języku polskim" — poprawiłem go.

— "Tak. Otóż jedno takie piśmko, nie posiadające jeszcze wiekowej tradycji, ale dobrze zapowiadające się, wychodzi tutaj. Biedne to, anemiczne i powielane w dodatku — ze względu na trudności techniczne. /Nawiasem mówiąc — dwa numery zostały "zbombardowane", tak, dosłownie zbombardowane/.

"Jak wiesz, pracuję w administracji i zarazem drukarni tego piśmka,

bo powiem je. Pewnego dnia otrzymujemy list. Piśmko jakaś pani. Nie żyję sobie, aby piśmko było przysyłane jej synowi. Bo syn jej chodzi do angielskiej szkoły i czytając polskie piśmko zatraci akcent, dalej ... że musi się uczyć matematyki i geometrii, że piśmko nie na poziomie, że powielane i t.d. i t.d. ...

"Kapujsz?! Synek czytając polskie piśmko zatraci akcent, nieladnie będzie mówił po angielsku!"

"No, ale przedpłata mimo wszystko wpłynęła na następny kwartał, czy półrocze i jasne, że piśmko musimy nadal wysyłać do tej polskiej rodziny w Londynie. Przychodzi potem następny list — tym razem od ojca. Prawie że to samo, z małą poprawką: zarzut jakiegos tam "hurra-patriotyizmu".

"Ale kto wysłał przedpłatę do redakcji? — zapytasz. — Najprawdopodobniej sam syn".

To wszystko. Teraz mógłbym szeroko i pięknie pisać o tym, że kiedy żołnierz polski walczy na wszystkich frontach świata, tu, w Londynie ... Polacy ... i t.d. i t.d. No ale nie potrafię ... napisać.

Dodam tylko jedno. Przypominam sobie mianowicie słowa mojej Matki, kiedy zebrała mnie, gdy wyjeżdżałem z jakiegoś rosyjskiego miasteczka do Armii Polskiej: "Niech cie Bóg zaprowadzi do Wolnej Ojczyzny"! Nie: "... a uważaj na siebie! ... a nie zapomnij o nas! ... a ... a może tam będziesz mógł skończyć liceum" ... tylko: "Niech cie Bóg zaprowadzi do Wolnej Ojczyzny!"

Przesyłam wyraża prawdziwego szacunku i poważania

Jerzy Górski

WIKTOR BUDZYŃSKI

HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE ?

ST. JAMES' BALM
ANTIVIRUS OINTMENT

DESTROYS GERMS
AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT
Send for FREE SAMPLE

MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd
CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25

NA "PACZKI OD SERCA" DLA JEŃCÓW Z ARMII KRAJOWEJ

Przesyłam w załączeniu Money Order na sumę £18.10.0 /słownie: osiemnaście funtów, dziesięć szylingów/...

Kapitan s/s Kielce

Przesyłam niniejszym Money Order na sumę £6.7.0 na paczki dla jeńców z Armii Krajowej z Warszawy.

M. Bagińska Sekretarka

Prof. M. Skalińska Przewodnicząca Stow. Służby Społecznej Kobiet

W załączeniu "Postal Order" na 20 sh. na paczki dla jeńców z Armii Krajowej.

A.E.

LEONARD POTRAC, urodzony 26.X.1919 w Wielkim Kłinczu, powiat Kościerski, Pomorze, poszukiwany przez Pomarańskiego Edmunda P/76 Polish Forces.

"KALENDARZYK POLAKA W W. BRYTANII"

na rok 1945 II Wydanie

ceną 6/6 wraz z Purchase Tax jest już do nabycia w polskich księgarniach i świetlicach lub w SKŁADNICY KSIĘGARSKIEJ, 8, Hope Str., Edinburgh. Tel. 26573.

Na pomoc Warszawie: £2,647

Załączam przy niniejszym £1 za przeznaczeniem: 10 sh. na pomoc Warszawie, 10 sh. na polskich jeńców.

Krystyna Lubieniecka

Bezmiennie przesyłam 10 sh. na pomoc Warszawie.

Przy niniejszym przesyłam przekaz na £19 /dziewiętnaście funtów/ złożonych przez oficerów i szeregowych 10-jej Komp. Wart. z przeznaczeniem na pomoc polskim dzieciom w Kraju.

D-ca komp. por. D.

Dear Sir, Will you please accept this further contribution of £1 towards the relief of some orphan in Warsaw. Yours faithfully, E. C. Roberts /Miss/

Przesyłam 30 sh. na pomoc dla cierpiącej Warszawy. M. Płoszajska

Przesyłam kwotę £21 /dwadzieścia jeden funtów/ jako składkę oficerów S.P.P. na rzecz "Warszawy" za mies. luty 1945. Skarbnik ppor. J.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £43.10.0 /słownie: czterdzieści trzy funty, dziesięć szylingów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną do tychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £2,647.4.0 /słownie: dwa tysiące sześćset czterdzieści siedem funtów i cztery szylingi/.

NA DZIECI POLSKIE W INDIACH

Powołując się na apel p. Bolesława Pomiana o pomoc dla dzieci polskich w Indiach, zamieszczam w "Polsce Walczącej" nr. 51-52, przesyłam w załączeniu Postal Order na trzydzieści szylingów z uprzejmą prośbą o skierowanie go do odpowiedniej instytucji.

Pieniądże te są od P. Bonlander, 8, Learmouth Gdns., Edinburgh. J. Czaykowski

KOMUNIKAT NAUCZYCIELSKI

Walny Zjazd Członków Zrzeszenia Nauczycieli Polaków w Wielkiej Brytanii odbędzie się w dniach 15 — 17 lutego 1945 r. w Edinburghu. Żałobna Msza Św. w katedrze rzymsko-kat. dnia 15 lutego br. o godz. 10.30 — Broughton Str. /w pobliżu Royal Theatre/. Otwarcie i obrady Walnego Zjazdu o godz. 11.45 w sali Y.M.C.A. — 10, South St. Andrew Str. /blisko Waverly Station/.

Indywidualne informacje już zostały wysłane pocztą. Informujemy, że Pan Minister Obrony Narodowej Rozkazem L.dz.48/W Pol./45, pkt. 6 kanc. z dnia 11.I.1945 r. zezwolił nauczycielom-żołnierzom na wzięcie udziału w Walnym Zeździe Nauczycieli. Dowódcy Oddziałów W.P. otrzymali rozkaz wydania biletów kolejowych w ramach zwykłych norm urlopowych. Prosimy o liczny udział w Zeździe.

Zarząd Z.N.P.

STANISŁAW SZAJKOWSKI, urodzony 15.8.1916 w Tylicach, powiat Toruń, poszukiwany przez Faleńskiego Antoniego P/76 Polish Forces.

JAN SMOLKA ma list do odebrania w Redakcji "Polski Walczącej".

NA POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Dear Sir, I have much pleasure in enclosing Postal Order for 5 sh. Please forward the money to the Polish Children Rescue Fund.

I am, Yours truly, M. Hilliean

Dear Sir, I have the pleasure to enclose herewith a donation of £2 on behalf of the Polish Children Rescue Fund. Miss Marion Richmond 24, Rennie Str., Falkirk.

For Polish Children Rescue Fund from Miss Margaret B. — "45" — £5.

KSIĄŻKI

Spis książek ofiarowanych przez p. H. Jagiello, Referatowi K.O. P.C.K. The British People at War, Kampania Norweska — A. Jaskowski, The Handy Reference Atlas — Bartholomew, Polish Short Stories /tłomaczenia klasyków polskich/, Essentials of Polish Grammar — M. Patkaniowska, A New Polish Grammar — J. A. Teslar, Greater London, Essential English, Book 3 and 4. Razem 9 książek.

BŁĘKITNY FUNDUSZ

Przesyłam w załączeniu czek na sumę 20/- na "Błękitny Fundusz" od Leny L. oraz przekaz pocztowy na sumę 10/- również na "Błękitny Fundusz" od S.K.

NA P.C.K.

Wystawa Fotograficzna "Through Polish Eyes" powróciła do pracy po krótkiej przerwie, spowodowanej koniecznością odwiezienia jej i zaktualizowania.

Dowodem tego jest suma £21.4.0 /słownie: funtów dwadzieścia jeden i cztery szylingi/, zebrana na Polski Czerwony Krzyż z dobrowolnych składek zwiedzających Wystawę w City Art Gallery w Worcester, gdzie wystawa gościła w czasie od 7 to 27 stycznia b.r.

W ciągu lutego wystawa będzie w Museum i Art Gallery w Bristol, a w marcu jedzie do Cardiff.

W załączeniu Money Order na sumę £8.4.0 oraz czek na sumę £13.

/—/ Paweł Miller

Dear Sir, Please find enclosed money order for £16.7.7, being half of proceeds of Dance held in Regal, Kinghorn, on the 26th Jan. The other half goes to British Red Cross.

Total drawings were... £55.14.5 Expenses £21.19.3

Balance £33.15.2 Enclosed is copy of balance-sheet.

Will you please see that this money is given to Polish Red Cross.

Yours sincerely,

Sheila Wallace

KOMUNIKAT P.C.K.

Ranni żołnierze, którzy przebywali w obozach W.P. na terenie Kanady, proszeni są o zgłaszanie swoich adresów do P.C.K. 34, Belgrave Sq., London, S.W.1, celem przekazania ich nazwisk Kanadyjskiemu Towarzystwu Przyjaciół Polaków w Owen-sound, Ont.

WERINAJSEK

SMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE...

PO NOWYM ROZKAZIE



— Stuchajcie kapralu, dlaczego nie podrażniacie wyższych stopniem? — Ja mówię: "całuję rączki"...

ECHA GOŚCINY...

Mówią, że na "Wieczorze Koled" w wykonaniu Toli Korian najbardziej podobala się Anglikom stara polska kołoda: "Za kołedę dziękujemy, zdrowia, szczęścia wieszujemy..."

W SĄDZIE POŁOWYM — Wysoki Sądzie, jak ja tego pana widzę, to sam szczyryk otwiera mi się w kieszeni!...

WNIOSEK... — Pan wie, że "Lwowska Fala" wraca do Szkocji? — Z czego pan wnioskuję? — Z programu! Zawsze na zakończenie przedstawień w Holandii śpiewali: "Wrócimy tam, dokąd serce dziś tęskni i marzy..."

"Gdy satyra na wojnie Wszędzie się paleta..." Wszystkie chwali — prócz właśnie Mórza korespondenta.

Więc górą "od piechoty" Korespondent wierny, Górą "huzar" i górą Reporter... pancerny.

I "lotnika" imię Or-Si W swym świetnym wierszyku Chybałi w czambuł. Pamięta nawet o SHAEF-czyku.

* patrz nr. 5 "Polski Walczącej".

ZIMA WŚRÓD DZIECI SZKOCKICH



— John, tatuś mi obiecał, że jak będę grzeczny, to po wojnie pojedzie na Sybir. Tam jest podobno dużo śniegu...

NADZIEJE

Anglik optymista: Rosjanie mają tylko 50 mil do Berlina!... Anglik pesymista: No tak, ale co 500 mil do Linii Zygryda!...

PRAWDZIWE...

Jeden z nowoprzybyłych żołnierzy jest na przyjęciu świątecznym u Szkotów. Podano "Christmas pudding". Polak miele w ustach dziwny "przysmak". Wtem czuje coś twardego. Nie wie co robić. Pośtanawia połknąć... Po chwili każdy z biesiadników wyjmie coś z ust.

— A ty co znalazłeś w puddingu — pytają Szkoci. — Zdaje się, że łyżeczkę...

POWIEDZONKO

— Ta "Wielka Trójka" to przypomina mi trójkąt małżeński! — ??? — Miłość na dwa fronty...

SPORT KWITNIE W HOLANDII



— Tylko uważajcie, ażeby przez to "holendrowanie" waszej dziewczynie nie poślizgnęła się noga!...

Tekst i rysunki: TONY

KWATERA FRASZKOWA — CIĄG DALSZY czyli panu Or-Si w skromnej odpowiedzi*

Lecz o morzu zapomniał /Taki okazdusza/, A my chcemy tymczasem, By chwalił Janusza...

Janusza, co jak Jonasz Z paszczy wieloryba, Z "Krakowiaka" i "Dzika" Ku nam się wygiba,

Sprawił, że morski Janusz Jest zlekceważony?

Odpowiedź na to prosta — Tak nam śpiewa ENSA — Zamiast biednego Or-Si Winić trza... Rubensa...

Malarza tego zawsze Opinia podniebna, że: "Polsce Marynarka Wcale niepotrzebna".

"Może Polak nie wiezieć Co morze, gdy orze; Nasza jazda koptami Obroni Pomorze"...

"Statki nam są zbyteczne, Chyba-że... kuchenne. A majtki... owszem — damskie Są dzisiaj bezcenne".

"Flotę mamy w kieszeni" — Grzmią zaś inni w kupie — "A wodę w głowie". Reszta To już: "Zobw w skorupie".

Moral z wierszyką tego Jest niedoceniany: Bo na morzu są fale — Na lądzie... bałwany.

Jim Poker

MONOMARK SERVICE PERMANENT LONDON ADDRESS LETTERS REDIRECTED AT ONCE TO ENGLISH OR OVERSEAS ADDRESSES 5/- p.a. Royal Patronage Write to: MONOMARK BM/MONO 51, London, W.C.1

EDYNBURG 40, Bruntsfield Place. Tel. 52396. 2, Drumshugh Place. Tel. 21712. Obok West End, na przedłużeniu Queensferry Street. KSIĘGARNIA POLSKA "CO SŁYCHAĆ" Posiada wielki wybór książek polskich i angielskich. Słowniki i podręczniki szkolne. Kalendarze ściennie i kieszonkowe. Upominki, orzelki, dystynkcje i odznaczenia wojskowe. Sprzedają gazet i czasopism.

BARWNA MAPA POLSKI wraz ze zwięzłym skrótem statystycznym w języku angielskim i francuskim /umieszczonym na boku mapy/. Format 17 1/2" x 22 1/2" cali, ukaże się wkrótce w sprzedaży. Cena 2/6 Cała rozsprzedaż tej mapy oddana do Kiosku w Ognisku Polskim w Londynie, 45, Belgrave Square, S.W.1. Ze względu na ograniczony nakład, uprasza się o zgłaszanie zamówień jak najszybciej, tylko pod adresem Kiosku.

KONKURS na plakat Wystawy "POLISH ARCHITECTURE" 1/ Zarząd S.A.R.P. w W. Brytanii rozpisuje konkurs na plakat Wystawy Polskiej Architektury w U.S.A. 2/ Konkurs jest otwarty i mogą w nim brać udział wszyscy obywatele polscy i Polacy, obywatele innych państw. 3/ Tematem konkursu jest projekt plakatu propagującego wystawę Polskiej Architektury na terenie miast U.S.A. Kompozycja, jak i technika wykonania plakatu /rysunek, fotomontaż/, zostaje pozostawiona projektodawcom. Obowiązuje jedynie format projektów 50 x 70 cm, oraz maksymalna ilość kolorów — trzy, niezależnie od koloru papieru. 4/ Nagrody wynoszą: pierwsza £25, druga £15, trzecia £10. Nagrody te zostaną natychmiast wypłacone autorom prac nagrodzonych po ukończeniu przewodni konkursowego, t.j. do dnia 20 marca 1945 roku. 5/ W skład sądu konkursowego wchodzi: Prof. Wojciech Jastrzębowski, Inż. arch. Stefan Osiecki i art. grafik Marian Różański. Orzeczenie jury jest nieodwołalne, a S.A.R.P. zastrzega sobie prawo do dalszych prac nagrodzonych według własnego uznania. 6/ Termin nadsyłania prac wyznacza się na 15 marca 1945 r. Prace, zaopatrzone godłem z załączoną zapieczętowaną kopertą, zawierającą nazwisko, imię i adres autora /lub należy nadsyłać na adres S.A.R.P., 45, Belgrave Sq., London, S.W.1. Dla prac zamiejscowych obowiązuje będzie data stempla pocztowego. 7/ Wyniki konkursu zostaną ogłoszone na łamach "Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza", a autorzy prac nienagrodzonych będą mogli odebrać swoje prace w lokalu S.A.R.P. Komisja Propagandy S.A.R.P.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD. Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro. Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-iej — 13-iej. Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku. Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową — sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową — sh.3. Należność prosimy płacić przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji. Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz. Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.